№ 7. Czwartek, dnia 17 Lutego. Rok 1876.



WARSZAWA
dnia 5 (17) Lutego
1876 r.

Wychodzi w każdy Czwartek.

CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rsr. 6; półrocznie rsr. 3; kwartalnie rsr. 1 kop. 50; miesięcznie kop. 50.
Na Prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rsr. 8; kwartalnie rsr. 2.

REDAKCYA
przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1351.
(nowy 11).
Tamże przyjmuje się ogłoszenia.

LISTY J. I. KRASZEWSKIEGO.

II.

Smutne to czasy! Bywało pewnie na świecie gorzej nieraz niż jest dzisiaj, ale smutniej—rzadko. Smutek ten urodził się z tego, że nam wszelkich ideałów i wiary w coś szlachetniejszego zabrakło. Śmieliśmy się tak bardzo, tak długo do rozpuku, że w końcu sił nie stało do śmiechu, wesołość się wyczerpała i... przyszedł... smutek.

Smutek byłby jeszcze niczem, — bywa on zdrowy i pożyteczny — ale w naszym tkwi apatya, odrętwienie, zobojętnienie na wszystko; to już stan choiobliwy. Młodzież jest zawczasu stara, starzy wieku swojego nosić nie umieją przyzwoicie, dzieci palą papierosy i prawią nieprzyzwoitości... jakoś to wszystko niedobre...

Początek tego listu, mili Czytelnicy, trwogą was musi nabawiać a nuż powiem wam tak nudne kazanie jak w poprzedzającym? A! nie — musiałem tylko począć od tego smutku, bo mnie on tu w Niemczech otacza zewsząd... Co do mnie, przyznam się wam pocichu — choć czasem gderzę, ale w gruncie pessymistą nie jestem, spokojnie na świat patrzę i staram się go widzieć z jak najlepszej strony. Wiele na nim i rzeczy dobrych i dobrych ludzi i godzin jasnych... a byle cokolwiek kochać, nigdy człowiekowi bardzo źle być nie może... Cała sztuka na tem, żeby coś kochać, do czegoś się przywiązać. W tem tajemnica życia — kogo żaden węzeł ani naturalny, ani sztuczny nie łączy ze światem, ten — ten traci równowagę i leci — w przepaść...

Śmieją się czasem z tych, co różne drobiazgi zbierają sobie po drodze, robią kolekcye starych kapeluszy i potłuczonych garnuszków — ale to są, wierzcie mi, ludzie bardzo rozumni, bo, choć już stare kapelusze i potłuczone garnuszki, kochają. A — powtarzam wam — w tem życia tajemnica, żeby coś kochać na świecie.

Tu w Niemczech, w wielkiej jest teraz modzie samobójstwo... a całą przyczyną tej manii tylko to, że ci ludzie nic już nie kochali, albo kochali siebie samych nadewszystko, co jest najstraszniejszą aberracyą i szałem.

Ten smutek o którym wspomniałem wyżej — możeby się lepiej dał nazwać — nudą. Znudzeni są wszyscy i wszystkiem i nic nikogo nie obchodzi, nie zajmuje, nie bawi, nie zaciekawia. Jest to choroba — szczęściem ona nigdy nie zwykła trwać długo i społeczność którą napadnie, albo musi zginąć lub się przekształcić. Niesmak ten do życia zawsze dowodzi nienormalnego stanu... W Niemczech na tę słabość wiele się bardzo przyczyn złożyło. Jak po brzydkiem pijaństwie następuje ból głowy, niesmak i gorycz — tak po upojeniu i szale duchowym, musi przyjść nuda i bezsilność. Po tryumfach 1871 r., Niemcom głowy się były pozawracały, zdało się im że pobiwszy nieprzyjaciela, zdobyli moralne panowanie nad światem. Szał dochodził niemal do obłąkania.

Narody łacińskie wszystkie uznano zgrzybiałemi, wyżytemi, do niczego niezdolnemi; nas, Słowian, za plemię niezdolne do cywilizacyi i przeznaczone Germanom na pożarcie żywcem. Przyszło potem do roboty, do życia — i — okazało się w praktyce, że Niemcy na wszystkich wystawach pracy, przemysłu, smaku, sztuki — zostali — w tyle za innemi...

Mają potęgę a brak im — siły. Zdaje się to niedorzecznem, a tak jest. Tą siłą na której im zbywa jest po prostu — miłość — nikogo nie umieli kochać oprócz siebie.

Gdy oni lali działa w Essen i wymyślali nowy karabin Mausera, taki doskonały, że nie wiem ilu ludzi na minutę mógł zabić, Francuz jakiś z desperacyi wymyślił szkło metaliczne i hartowne.

Mała to rzecz... jedno nic zdaje się... cóż szkło znaczy? Ale Niemcom się zrobiło okrutnie przykro. Jakto może być, żeby jeden taki zwyciężony, pobity Francuz śmiał wynaleźć, bez pozwolenia ks. Bismarcka — takie szkło co się nie tłucze. Gdy wiadomość

o tem doszła tutaj, byłem tego świadkiem, Niemcy ruszali ramionami i zaręczali, że oni dawno takie szkło znali, że w tem nie było wcale nic osobliwego, i że oni, gdy zechcą, zrobią takie szkło w jednej chwili.

Otóż, mniej więcej dopytawszy francuzkiej metody, zaczęli robić to szkło... Ogłosili że już jest... że się albo nie tłucze, albo chyba w moździerzu, na upartego... trwało to z miesiąc — i o szkle już więcej słychać nie było.

Ktoś jednak zaproponował Francuzowi, tak sobie na żart, żeby mu ustąpił patentu na Niemcy... Francuz, zdaje mi się, zażądał 40 milionów franków...

Zakrzyczano znów że w tem niema sensu, że to coś podobnego jak żądanie Dumasa, który za pozwolenie grania na scenie w Berlinie jednej swej sztuki, — chciał aby mu oddano Alzacyę i Lotaryngię.

O szkle tedy znowu mowy nie było długo... aż — oto, okazuje się że jeden z bankierów berlińskich nabył niewiadomo za jaką summę patent francuzki, i że po całych Niemczech, wszędzie gdzie jest więcej niż 30,000 ludności, fabryki się zakładać mają... Szkło to, da Pan Bóg doczekać, zrobi w świecie, w gospodarstwach, formalną rewolucyę.. Będziemy gotowali w szklannych garnuszkach i mnóstwo sprzętów kruszcowych, które się rdzą okrywają, zastąpi ten materyał nowy. Dla tych co pamiętają, jak my, te czasy, gdy jeszcze w Europie żadnej kolei żelaznej nie było, a telegrafy na ogromnych drabinach machały rękami nieprzyzwoicie — i gdy szkło trzeba było brać w ręce z uszanowaniem — cóż to za dziwne przemiany, i jak się boży świat zmienił! — A ludzie??... ludzie, nic a nic...

Tyle tylko, że mając ułatwione życie, prędzej się niem nudzą i strzelają sobie, z pozwoleniem, w łby, piją cyankali, lub topią się, nie mając już nic lepszego do roboty. Wszystko to z tego, jakem powiedział wyżej, że kochać nie chcą i nie umieją. Gdy drugim, poczciwym, pracowitym, życia długiego mało, aby się czegoś nauczyć i coś dobrego zrobić, — im, często w leciech dwudziestu, już ręce opadają! Biedne to stworzenia...

Ale obok nich — są przecież i inni... Spojrzmy tylko... Tam kilkudziesięciu odważnych płynie pod biegun północny, aby zbadać natury tajemnice; tu, inny całe życie trawi nad szkiełkiem, przez które nieskończenie drobne stworzonka śledzi, podpatruje i uczy się tego jak się poczyna w naturze to życie, które w coraz szerszych i doskonalszych rozmiarach objawia się aż do człowieka.. Jedni studyują choroby, inni nowych ciał szukają w rozłożonych światła promieniach. Choć zrobiono bardzo wiele, zawsze jeszcze do robienia pozostało mnóstwo — i końca pracy — nigdy nie będzie.

Praca, wierzcie mi — to największa rozkosz na ziemi. — W bardzo zajmującym przeglądzie leśniczym, który pan Rivoli wydaje w Poznaniu, między innemi jest opisanie podróży naukowej do Tatrów i Czarnohory. W niem jest wspomnienie o znanym wszystkim co bywali w Zakopanem przewodniku Wali, który często naturalistów naszych po górach oprowadza. Poczciwy góral przez to obcowanie z ludźmi mądremi, nabrał takiej ochoty do zbierania owadów i roślin, że o niczem prawie nie mówi, tylko o tych swych studyach naukowych.

Otóż tak jak ten Wala w owadach, trzeba się w czemkolwiek zakochać — a życie jak sen miły się prześni. Śmieją się ze zbieraczy; są to najszczęśliwsi w świecie ludzie, mają cel życia, zawsze czegoś pragną, coś im się śni i uśmiecha — i — gdyby zbierali najbłahsze w świecie jakieś rzeczy, — zbiór ich zawsze będzie miał pewne znaczenie naukowe.

Anglik jeden zbierał — lalki; — ale miał w zbiorze i stare rzymskie, i egipskie drewniane, i nie wiem tam jakie, a kolekcya jego była wysokiej wartości...

Wspomnieliśmy o Tatrach... Są tam u ich podnóża ludzie tak w nich zakochani, że z utęsknieniem wyglądają pory, gdy na te cudne góry wybiedz będą mogli, i spędzają tam całe letnie miesiące. Zawiązało się nawet towarzystwo tatrzańskie, które drogi lepsze, miejsca dla spoczynku podróżnych przygotowuje, bierze w obronę ładne kozy, które na wyżynach mieszkają, i co roku wszystkie zakątki zwiedza... W istocie ta alpejska natura bardzo jest śliczna, choć trochę uboga i milcząca. Ma ona jednak i swą Florę własną, i mieszkańców, do których między innemi, mrukliwy niedźwiedź się liczy. W ostatnich latach, od strony Zakopanego zaczęło zwiedzać Tatry daleko więcej gości niż dawniej, a jużciż to pożyteczniejsza i milsza wędrówka, niż gdzieś po dalekich cudzych górach, wypatrzonych i wychodzonych od wieków...

Malarz krakowski, pan Walery Eliasz, który jeden z najpierwszych (z ks. prof. Janotą licząc) w Tatrach się zakochał, wydał dla podróżujących przewodnik wyborny, z ładnemi rysunkami, a nie ma prawie niedostępnego szczytu, na któryby się on nie wdrapał. W Zakopanem, wiosce u stóp Tatrów, zkąd zwykle czynią wycieczki, teraz się już chaty górali powystrajały wyśmienicie na przyjęcie podróżnych, a, choćby wszystkiego wykwintniejszego zabrakło, w porze letniej, kurczętami, grzybami i poziomkami, których tu jest nieprzebrane mnóstwo, doskonale wyżyć można. Już same widoki karmią, bo góry są cudnie piękne, i chyba deszcz się i mgły zawezmą na podróżnego, świat mu zasłaniając; — inaczej, zawsze się ta wędrówka stokrotnie nowością i majestatem swych obrazów opłaci.

(D. n.)

Z KRONIKI RODZINY ZIEMIAŃSKIEJ,

SPISAŁ

Kaz. Wł. Wójcicki.

(Ciąg dalszy.)

X.

Nazajutrz przed południem drużyna weselna opuściła Zakrzewie, zostawiając państwa młodych wraz z ojcem na nowych osiedlinach.

Ewunia, oprócz serdecznej chęci zadosyć uczynienia żądaniu babki i usłużenia Klaruni, miała jeszcze i inny cel na myśli, wyruszając " Warszawy na wesele p. Bazylego. Pragnęła koniecznie pogodzić stryja z ojcem, który mocno na tem nieporozumieniu cierpiał.

Z temi chęciami zwierzyła się pułkownikowej, a zacna matrona obiecała jej wszelką ze strony swojej pomoc.

— Moje drogie dziecię—mówiła właśnie wracając z Zakrzewia,—będziemy pracowały razem ażeby w sercu me-

go Pawła zagoić ranę bolesną, jaką mu poczciwy Bonuś nieoględnością swoją zadał. Ale sama nic nie rozpoczynaj, aż się razem dobrze naradzimy.

— *Sapristi!* mówił kapitan do siedzącego obok na bryczce Adama,—jakoś ciebie coraz więcej nie poznaję! Co się z tobą zrobiło! Dawniej taki rześki i ochoczy chłopak, a teraz milczący niezdara! *Sapristi!* tego nie lubię, a że cię prawdziwie kocham *mosanie*, więc ci w oczy palę...

— Mój drogi kapitanie, odrzekł Rudzicki, nie wiem jak ci mam dziękować za twoją przyjaźń i względy, ale ja coraz więcej kocham pannę Ewę, rady sobie dać nie mogę i żyć bez niej nie potrafię.

— Wiem o tem, i przekonany jestem, że będziesz szczęśliwy, bo to dziewczę podobne do Bonusia, którego niekochać nie mogę, choć mi tak ciężko serce zakrwawił.

To powiedziawszy zamilkł, i na tem się wesoło zaczęta rozmowa urwała, gdyż Adam, szanując żal starego żołnierza, rozpoczynać na nowo jej nie śmiał.

Kapitan pozostał już chmurnym na cały wieczór, i dopiero pod koniec, zręcznym zabiegom i przymileniom Ewuni udało się go nieco rozruszać.

W parę dni przybył Bazyli z żoną i ojcem w odwiedziny. Kapitan był tym razem w dobrym humorze, który podniosło jeszcze przybycie tak pożądanych gości; niewyczerpanym więc był w konceptach, a półsłówkami, niby niechcący, wywoływał nieraz rumieniec na lica młodej mężatki.

Niedługo po przybyciu gości zjawił się posłaniec Sirawskiego, który jeździł do Warszawy, i doręczył listy swemu panu, pułkownikowej i Ewuni. Każde z pośpiechem zaczęło je odczytywać.

Bazyli z uśmiechem radości swój podał żonie. Był to list od pana Bonifacego z serdecznem życzeniem szczęścia w związku małżeńskim: przepraszał w gorących słowach, że nie mógł pięknej i zacnej jego małżonki odprowadzić od ołtarza. «Cóż robić, w końcu dodawał, chciałaby dusza do raju, ale jej grzechy nie dają».

Gdy Klara na żądanie męża w głos ten list przeczytała, kapitan przy ostatniem wyrażeniu pokręcił wąsa i rzekł nieco zachmurzony:

— Pan brat *sapristi*, przecież się raz przyznał do winy...

Na te słowa Ewunia, idąc za popędem pierwszego wzruszenia, podbiegła ku niemu, uklękła, a składając rączki jakby do modlitwy:

— O! mój stryjaszku drogi!—zawołała—przebacz mu łaskawie! On już i my wszyscy zaczynamy srogą pokutę za jeden krok nierozważny. Ach! żebyś wiedział ile on cierpi, żeś się od niego odwrócił! Przebacz mu! przebacz!

Widząc to pułkownikowa zbliżyła się i wpatrzyła uważnie w syna; stał również z wlepionemi weń oczyma Bazyli. Seklucyan, Klara i Adam spoglądali na tę scenę pewni gwałtownego wybuchu. Ale kapitan, którego spojrzenie spoczywało na pięknem a rzewnem obliczu ukochanej synowicy, gdy dostrzegł, jak się jej oczęta łzami zaperliły, podniósł ją z ziemi, a tuląc do siebie, przemówił drżącym głosem:

— Oby mu Bóg tak łaskawie błogosławił w tem i przyszłem życiu, jak ja mu szczerze przebaczyłem. Ale żal uwagi nie ma... Teraz wszystko niech będzie zapomniane, i niech radość w skromnym naszym dworku zagości. Wszak prawda, kochana matuchno? I zwróciwszy się do pułkownikowej, ucałował jej ręce.

— Klarciu!—szepnął zcicha do żony Bazyli—oto masz w poczciwym Pawle wzór starych naszych wiarusów, którzy z szaloną odwagą, energią i hartem duszy, łączą serce pełne miłości i najszlachetniejszych uczuć.

— Teraz ja wam powiem radosną wiadomość, odezwała się pułkownikowa. Bonuś na prośbę moją pozwala na dłuższy pobyt u nas Ewuni, a co więcej, dopisała się i jego żona, zgadzając się na to chętnie.

— *Sapristi!* to dobrze! zawołał kapitan: teraz właśnie nadchodzi pora do pielenia w ogrodzie, potem grabienie siana, a potem do sierpa. Dalej! mościa elegantko warszawska, do roboty! Chwała Bogu, przybywa nam dwoje rąk zdrowych i zręcznych!...

Wieczór był widny, bo księżyc w pełni wypłynął na pogodne lazurowe niebo, czas było wracać do domu; więc Bazyli z żoną serdecznie zapraszali do Zakrzewia pułkownikową z synem i Ewunią.

— Co do Adasia—mówił kapitan—tego nie proś mój bracie, on teraz jest niby piąte koło u naszego wozu, które się za nim zawsze potoczy.

— Ale spodziewamy się, dodała Klara z przymileniem, że ciocia kochana wybierze się na kilka dni do nas...

Kapitan chciał protestować, gdy Bazyli krzyknął:

— *Sapristi*! dopiero się orka pod grochy i owies rozpocznie, robót gospodarskich nie masz, wreszcie twój głos nic nie znaczy; tu najpoważniejsza osoba rozstrzygnie prośbę mej żony.

Pułkownikowa zgodziła się chętnie, co słysząc kapitan, żwawo poszedł do swej alkowy, a wyniósłszy stary, wojskowy, skórzany mantelzak, rzekł z pokorą:

— W takim razie, i ja gotuję się w drogę i marsz za moim pułkownikiem!

XI.

W cztery dni później, raniuteńko, wybrano się z dworku Wólki-Słomianej do państwa Bazylich na cały tydzień.

Dwór w Zakrzewiu już był przygotowany na przyjęcie spodziewanych gości. Urządzono oddzielny pokój dla pułkownikowej i Ewuni, a drugi dla kapitana i Adama. O pół mili od domu stał konny posłaniec Bazylego, który miał wyprzedzić wszystkich, i dać znać co rychlej o zbliżaniu się tak miłych sąsiadów. Jakoż wkrótce dziedziniec zatętniał pod kopytami bieguna na którym siedział dziarski fornal, dający znać że państwo już jadą. Na to hasło wyszedł Bazyli z żoną i ojcem na ganek, witając z nietajoną radością przybyłych.

Dokończono dnia wesoło, a nazajutrz z rana, po wspólnem drugiem śniadaniu, rzekł Bazyli:

— Teraz, swoboda moim gościom zupełna, aż do obiadu; każdy niech się bawi jak mu wola; ja objadę gospodarstwo i niebawem wrócę, Klarcia zabawi ciocię i pannę Ewę, a kochany ojciec kapitana i Adasia.

— Złe rozporządzenie! mój Bazyli, zawołał pan Paweł.—Matuchna z żoną twoją to zgoda, ale Adama komenderuję na służbę do mojej synowicy; ja zaś marsz! do kwatery profesora. Mamy o czem z sobą gawędzić, gdy się tyle lat przekołatało na Bożym świecie i w pamięci jak w mantelzaku pełno mamy starych naszych rupieci—wspomnień.

Ewunia, niby zagniewana, pogroziła stryjaszkowi, gdy pan Seklucyan, wziąwszy pod rękę kapitana, poprowadził do swego *Asilum*, jak nazywał zajmowany przez siebie pokój.

Pułkownikowa z radością spoglądała na ten ład i porządek, jaki się odbijał na pierwszy rzut oka gdzie tylko spojrzała. Nie mogła przeto zataić swego zadowolenia i rzekła do młodej gosposi:

— Moja kochana Klarciu! widzę z wielką pociechą, że umiesz dać sobie radę bez obcej pomocy, i że będziesz prawdziwą *duszą domu*. Bazylemu powinszować takiej żony.

A gdy Klara z uczuciem wdzięczności całowała sędziwą ciotkę, ta dalej ciągnęła:

— Nie bierz tego za jedwabne słówka, moje dziecię,

mówię szczerą prawdę. Mam ja oko wprawne i widzę wszystko dobrze. Zkądeś się tego nauczyła?

— Sieroctwo, odrzekła Klara, jest najlepszą szkołą, a potem miłość i przywiązanie do ukochanego ojca...

Pułkownikowa rzewnie spojrzała na siostrzenicę.

— Bóg nas jakoś pocieszył w naszej niedoli, mówiła, tak twego ojca jak i mnie. Ty go kochasz szczerze jak mnie mój Paweł. Ah! czemuż on się nie ożenił! Czemu nie mogę popieścić własnych wnuków na stare lata, ani mieć tej pociechy, patrząc jakbym w nich się odradzała!

Po tych słowach opuściła smutnie głowę i łzy zabłysły w jej oczach.

— A dla czego też kapitan się nie ożenił? zapytała Klara.

— Smutna to historya moje dziecię; kochał pierwszą miłością w młodych latach ale zdradzonym został, trafił na kobietę lekkomyślną. Pomimo to, poprzysiągł sobie, że jej wiernym pozostanie. Ona wprędce poszła za mąż za bogatego obywatela, ale po kilku latach pożycia umarła, szukając daremnie szczęścia w dostatkach. Był to i do niego wznosi. Ukarana za swą lekkomyślność, umiera z tem przekonaniem, że tylko z nim byłaby szczęśliwą. W ciągu czytania biedny Paweł szlochał jak dziecko; kiedym skończyła, powiedziałam mu:

— Daj mi ten splot włosów, ja zrobię z tego plecionkę, którą na pamiątkę biednej Anny będziesz nosił na szyi.

— Ah! zawołał, to było właśnie moje najgorętsze życzenie! I głowa mu opadła na poduszki. W kilka dni plecionka była gotową, przyczepiłam do niej pierścionek przysłany a poniżej mały od siebie krzyżyk. Jakże całował ręce moje, gdym mu to wszystko zawiesiła na szyi.

— O moja matuchno złota! zawołał, to moje relikwie drogie!

— Odtąd corocznie w dniu św. Anny modlimy się razem za spokój biednej duszy.

Z wielkiem zajęciem słuchali obecni opowiadania sędziwej matrony; kapitan w ich oczach wyszlachetniał a jeszcze i serca ich uderzyły dla niego gorącem współczuciem. Szczególniej Adam, zaledwie mógł uwierzyć, ażeby człowiek tak pozornie surowy i ostry nieraz w obejściu, był tyle uczuciowym i kochającym. To też zaraz, gdy panie zabrały się razem do odwiedzenia gospodarstwa Klary, wszedł do *Asilum* profesora.

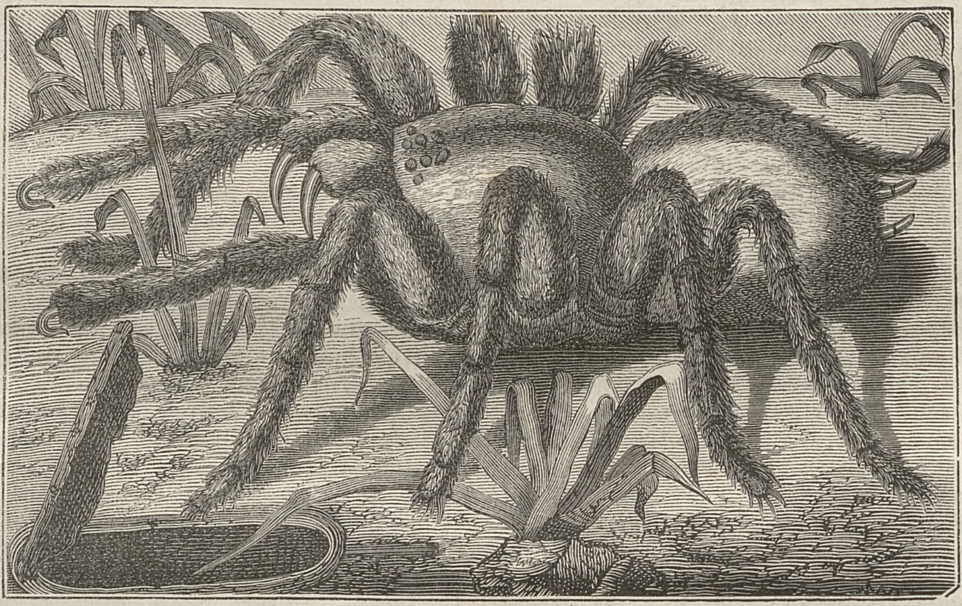


Fig. 1. Ptasznik (do art. o Pająkach).

straszny dzień dla mnie, gdy doręczono od jej brata Pawłowi pakiecik mały i list z czarną pieczęcią. Siedzieliśmy razem w naszym dworku; kiedy pierwsze słowa przeczytał, wykrzyknąwszy ochrypłym głosem: *umarła!* padł bez przytomności. Długo nie mogliśmy się go dotrzeźwić, a potem był zrazu jak obłąkany, aż gdym go po dawnemu zaczęła pieścić, zaryczał wielkim płaczem i spłakawszy ból serca, odetchnął przecie. Dwa tygodnie czuwałam z Kunegundą przy jego łożu. Kiedy już nieco wydobrzał, prosił o nadesłane pudełko: podałam mu je nieroztwarte, jak przyszło.

— Jakto! zapytał zdziwiony, matuchna nie zajrzała do środka?

— Mój Pawle!—odrzekłam—to twoja tajemnica.

— A przecież ja żadnej tajemnicy przed moją matką nie mam! zawołał rozrywając jedwabny sznurek.

W pudełku był list od jego dawnej narzeczonej, splot jej włosów i pierścionek, który jej ofiarował przy zaręczynach. Podał mi list i prosił abym go odczytała. W nim, nieboszczka, czując śmierć niechybną, przepraszała go za srogi zawód jaki mu zrobiła, dodając, że go mimo to zawsze kochała i kocha, i ostatnią myśl do Boga

Były to ostatnie dni marca: pomimo pogody, wiatr na dworze zimny poświstywał, na kominku palił się suty ogień, a przy nim w wygodnych krzesłach siedzieli Sekluclan i kapitan, ćmiąc wonnego sułtana.

— Dobrze żeś przyszedł panie Adamie, przemówił pierwszy: siadaj z nami, zapal fajkę i pogadamy z sobą.

— A cóżeś ze służby tak prędko zeszedł, gdziem cię wykomenderował? zapytał kapitan.

— Dostałem urlop, odrzekł Adam z uśmiechem, i to z upoważnienia pułkownikowej.

— No! to co innego, kiedy z rozkazu starszego, nie ma już co mówić. Właśnieśmy z wujaszkiem mówili, że ja ciebie nie poznaję, taką masz głupią minę przy Ewuni.

— A kapitan miałeś lepszą, kiedyś się zalecał do swojej panny?

I mówiąc to, wpatrzył się w oblicze sędziwego wojaka. Pan Paweł drgnął nagle na te słowa, zbladł nieco, westchnął boleśnie, opuścił smutnie głowę, i z ust wypu-

ścił cybuch. Po chwili jednak orzeźwiawszy, zcicha się odezwał:

— Masz racyę Adasiu! i ja byłem taki sam przy niej! Dawne to czasy, a jednak na każde wspomnienie, jej obraz staje mi przed oczyma jakbym ją wczoraj widział! Ah! gdybyś ją znał, tobyś tak jak ja na klęczkach całemi godzinami wpatrywał się w jej anielskie oblicze! Byłbym za nią, *sapristi!* rąbał się i strzelał ze stoma, oddał krew do ostatniej kropelki, a jednak...

— I cóż stanęło na przeszkodzie waszemu połączeniu? zapytał Seklucyan.

— Co? moja niezamożność i podmowa starych ciotek, wujenek i t. d. *Sapristi!* Poszła za bogacza! Biedny ptaszek! gdy go osadzili w ciasnej chociaż złoconej klatce, gdzie zabrakło kochającego serca, nie mógł wyżyć takiem życiem i schowali go w trumience.

Gdy to mówił, głos jego miękł, coraz stawał się rzewniejszym, aż w końcu prawie się rozłzawił. Seklucyan z Adamem z podziwieniem nań spoglądali.

— Mój Boże! ciągnął dalej jakby sam do siebie: tyle lat upłynęło a ja ją jednakowo kocham i ubóstwiam, bo wiem, że ona mnie jednego kochała. Jedna chwila odurzenia i padła ofiarą!.. tak jak Bonifacy, co przez nierozwagę zmarnował odwieczne gniazdo naszego rodu! O! mój Adasiu! myślałem że w tem gnieździe wraz z nim dokończę żywota; ale gdzie tam! wszystko przepadło— wszystko zmarniało. I on zmarnuje się na miejskim bruku, a poratować go nie umiem!

— Bóg opatrzny mój Pawle! przemówił Seklucyan,—jeżeli dotknie niedolą, to i poratuje. Patrz na mnie i na moją jedynaczkę!

— Wujaszkowi, odrzekł kapitan, nic przykrego na oczy się nie nasuwa; ale gdybyś tak jak ja codzień prawie widział i słyszał stuk siekier co w pień wycinają bory Bonifacego, gdzie się przez tyle lat tak rozkosznie polowało, zbierało grzyby, rydze i orzechy, tobyś nie miał spokojnej myśli, jak ja jej nie mam. Nowy dziedzic Olszewnicy z samych lasów z nasypką odbierze to co dał za nią, a ziemia śliczna i łąki, to Niemcowi za darmo przyszło...

Przykrą była Adamowi cała ta rozmowa, do której niechcący sam dał powód, z radością też, usłyszawszy na podwórzu tentent konia, zbliżył się do okna i zawołał:

— Chwała Bogu! otóż i wraca nasz gospodarz. Widać że nie żałował siwka, bo zmęczony i dobrze robi bokami. *(C. d. n.)*

NOTATKI LEKARZA DOMOWEGO

przez prof. Drą **Łuczkiewicza.**

I. Kilka słów o medycynie i hygienie.

W rzędzie osób składających owo kółko rodzinne, o którem Kraszewski mówi «że powinno hartować tę stal, która ma być orężem przyszłych naszych zdobyczy» mieścili się zazwyczaj i mieścić się powinni ludzie rozmaitych stanów, a mianowicie tych, których opieki lub pomocy potrzebują członkowie familii. Kiedy bowiem z rodzin składa się społeczeństwo, rzecz jasna, że w niej powinni być reprezentanci tegoż; wszak ztąd wychodzą, tu rodzą się wszystkie sprawy i potrzeby człowieka, który przedstawia, jak się wyraził już filozof starożytnej Grecyi *Thales*: świat w wszechświecie. Z tej też przyczyny, poczytywano u nas zawsze niemal za członka rodziny, kapłana, jako stróża duchowego i powiernika sumienia; zwyczaj ze wszech miar chwalebny, istniejący po dziś dzień w Anglii, gdzie węzły rodzinne zachowują jeszcze tradycyonalne znaczenie, a który u nas nie bez uszczerbku dla świętości cnót domowych, wychodzi jakoś z użycia. Dla tej samej przyczyny, naszem zdaniem, należałoby się także przy tem ognisku, poczesne miejsce i *lekarzowi* domowemu, jako opiekunowi fizycznej strony osób w skład rodziny wchodzących.



Fig. 2. Spionki na owsie (do art. o Pająkach).

Miejsce takie w rodzinie przypada lekarzowi z wielu względów i przyczyn; publiczność w ogólności, a nasza w szczególności, nie pojmuje i nie ocenia jeszcze dostatecznie stanowiska lekarza w stosunku do siebie, nie rozumie dobrze zadania medyka w społeczeństwie ani doniosłości prac jego, z powodu, że nie pojmuje znaczenia ni celu samej medycyny, nie zna jej istoty ani granic przez naukę i doświadczenie działaniu lekarskiemu zakreślonych. Każdy dzień prawie przynosi nam w piśmie i w mowie nowe tego dowody, każdy sąd o lekarzu przychylny czy potępiający stwierdza to zdanie; ztąd pochodzą niczem nieusprawiedliwione częstokroć narzekania na niedołęztwo lekarzy, ztąd też z drugiej strony znowu bezzasadne czasem uwielbianie medyka za ocalenie od śmierci, kiedy prawdziwa pomoc, niesiona bez hałasu i wystawy, bywa nierzadko zapoznaną. Pozwólcie przeto, szanowni czytelnicy, że w tem miejscu powiemy kilka słów o zadaniu medycyny i znaczeniu lekarza w społeczeństwie.

W zwyczajnem życiu

przeznaczają medycynie jeden i jedyny cel *leczenia chorób* i z tego wychodząc założenia żądają od niej, aby podała środki do usunięcia każdej choroby,—bez względu na jej rodzaj, trwanie, wiek chorego i t. p.; gdziekolwiek choroba uchyloną nie zostaje, i to po kilku łyżkach zażytego lekarstwa, tam wina ciąży na lekarzu, który jakoby z zapasu środków przez naukę mu dostarczanych, nie umiał wybrać odpowiedniego danej słabości.

Przeciwnie znowu inni, widząc że ludzie chorują i często i długo, ba! nawet umierają w obec lekarzy, i to pomimo kilkakrotnych konsultacyj najbieglejszych mężów w sztuce eskulapowej, przychodzą do przekonania, że medycyna nie posiada *jeszcze* pewnych środków do leczenia ciężkich chorób, i dla tego, radzić się medyka niema rzeczy; na dowód swego twierdzenia przytaczają zawsze bezskuteczność lekarstw w cholerze, raku, suchotach i t. p.

Obydwa sposoby pojmowania medycyny są z gruntu fałszywe, a co więcej, dla ogółu wielce szkodliwe; nie wolno bowiem żądać od medyka, iżby każdą chorobę wyleczył, ani też twierdzić, że pomoc jego w suchotach, cholerze, etc. jest bezskuteczną; zdania powyższe dowodzą tylko niewiadomości (łatwej zresztą do przebaczenia) istoty medycyny i rozległości jej zakresu.

Pierwszem i koniecznem zadaniem medycyny jest w rzeczy samej leczenie chorób, przekazane jej od najdawniejszych czasów, którego ona wypierać się nie może i nie chce. Zadaniu temu czyni ona zadosyć o tyle, o ile to leży w jej mocy, więcej nawet i częściej nierównie aniżeli to robić mogła dawniej; postęp na polu t. zw. terapeutycznem, jakkolwiek niewyraźny dla oka nieświadomych, jest przecież niewątpliwy w stosunku do przeszłości. Obecnie możemy się pochlubić, że są choroby, w których lekarz bezpośrednio, przy użyciu leków czy to wewnętrznych czy zewnętrznych, chorobę zwalczyć może, czego przykładem są: zimnice, niektóre zarazy, nierzadko zapalenia, cierpienia gastryczne, nerwowe, krwotoki, zatrucia, że pominiemy choroby chirurgiczne, okulistyczne i t. p., w których pomoc lekarza jest stanowczą i niewątpliwą.

Wszelako, prócz tych wypadków, gdzie chory przy wczesnem i odpowiedniem współdziałaniu lekarza wyzdrowienie jemu z pewnością zawdzięczać może, pomoc lekarska przynosi ważne usługi także w chorobach pospolicie za niewyleczalne poczytywanych i zazwyczaj śmiertelnych, jak: suchoty, rak, wady serca i t. p. Tu nie może wprawdzie lekarz, zapomocą środków aptecznych usunąć ciężkich zmian w organizmie tkwiących, nie zdoła więc przywrócić nieszczęśliwemu choremu zdrowia, uwolnić go od przedwczesnej śmierci — ależ w tych razach zadanie medyka jest całkiem inne, mniej zapewne jak w poprzednich skuteczne co do zakończenia choroby, wszakże równie pożyteczne, a zasadza się na ukojeniu dolegliwości, uśmierzeniu bólów i przedłużeniu życia choremu, na niechybną śmierć skazanemu. Ileż to jest osób z wadą serca, z chorobami piersiowemi lub innego rodzaju, które pomimo t. zw. defektu nigdy i niczem znieść się nie dającego, medycyna utrzymuje przy znośnem nawet życiu przez lat kilka, niekiedy i kilkanaście! Czyż to nie ogromna zasługa lekarza, jeżeli zdoła zachować dzieciom matkę, chociażby kaszlącą i słabowitą?!

Ludziom, którzy domagają się od medycyny skuteczniejszego w podobnych wypadkach działania, powiedzieć musimy, że żądanie to jest próżnem i nierozsądnem, bo niezgodnem z założeniem nauki ani z zasadami życia organizmu naszego. Medycyna jako nauka, docieka i usiłuje zapoznać się z warunkami i objawami życia człowieka, tak jak zoolog bada naturę zwierząt, botanik przyrodę roślin, fizyk prawidła ruchu, chemik powinowactwo ciał i t. p. W tem znaczeniu lekarz stara się zgłębić prawa i sposoby powstawania, przebiegu i zakończenia choroby, która dlań jest także tylko odmiennym, nieprawidłowym objawem życia. Gdzie organizm skutkiem jakichkolwiek wpływów postradał niezbędne dla bytu swego warunki, tam następuje śmierć koniecznie, tak, jak budynek musi runąć, jeżeli podstawa nie odpowiada ciężarowi gmachu. Podobnie jak życie jest wypadkiem wpływów odpowiednich organizmowi, tak choroba jest następstwem naruszenia ich, a śmierć koniecznością przy braku warunków niezbędnych do życia. We wszystkich sprawach życia organicznego panują stałe, niezachwiane prawidła, które my poznać i zrozumieć staramy się, do czego właśnie służy *nauka* lekarska, jako gałęź nauk przyrodniczych w ogólności. Inaczej znowu przedstawia się druga strona medycyny, lubo ściśle z pierwszą złączona, którą nazwać trzeba *sztuką* lekarską, medycyną praktyczną w stosunku do tamtej, teoretycznej.

Medycyna praktyczna, której przedmiotem jest nieprawidłowy stan organizmu, czyli choroba, ma zadanie spożytkować na korzyść chorego wiadomości przez naukę dostarczane t. j. usiłować na zasadzie znajomości organizmu, przywrócić mu stan dawniejszy, prawidłowy (zdrowia). Nauka podaje ogólne prawidła, zasady, każda zaś choroba, u każdego chorego, jest osobną dla siebie, oddzielną formą zwichnięcia od prawidłowości, wymagającą szczegółowego określenia (rozpoznania) i szczegółowego także postępowania (leczenia). Umiejętność ta osobnego w każdym wypadku zbadania danej choroby i wyboru skutecznych przeciwko niej środków, stanowi założenie lekarza praktycznego. Musi on, jak łatwo zrozumieć, opierać się koniecznie na zasadach nauki z jednej strony a na doświadczeniu przy łożu chorego nabytem z drugiej strony, albowiem teorya sama przez się jest i będzie zawsze martwą naprzeciw żywego przykładu; zasady naukowe są niby słupy wytyczne, a doświadczenie jedyną drogą prowadzącą do skarbu wiadomości praktycznych.

W praktyce lekarskiej musimy koniecznie i wyłącznie, nie chcąc być prostemi oszustami, kierować się zasadami nauki; jak sędzia paragrafami kodeksu, tak lekarz posługuje się w stosowaniu medycyny prawidłami organicznego życia, tłómaczy je, objaśnia, użytkuje na rzecz chorego, usuwa przeszkody tamujące rozwój sił fizycznych dla odzyskania zdrowia, podstawia przyjazne warunki, jednem słowem pomaga wszystkiemi sposobami organizmowi, iżby ten mocą sił własnych i wedle praw przyrodzonych powrócił do poprzedniego stanu zdrowia—wszakże praw tych, jak powiedzieliśmy wyżej, stałych i niezachwianych, odwiecznych, mądrością najwyższą zakreślonych, lekarz w niczem zmienić nie jest w stanie, zupełnie tak samo, jak sędzia nie może zmienić kodeksu. Badania naukowe wykazują w chorobach najrozmaitsze zmiany organiczne, z których jedne łagodniejsze, na mocy działania organizmu mogą być szczęśliwie wyrównane; inne jednak cięższe, połączone ze zniszczeniem tkanek, już naprawione być nie mogą, każda bowiem zmiana organiczna pociąga za sobą nieprzerwany, długi szereg innych zboczeń, których żadna siła ludzka powstrzymać nie zdoła. Zadanie medyka przy leczeniu choroby polega na tem jedynie, aby postawił i utrzymał organizm w takich warunkach, iżby on sam własnemi siłami, wygładził—jeżeli można,—zrządzone przez chorobę zmiany;—żadnej innej pomocy od lekarza żądać niepodobna, gdyż on nie rozporządza innemi siłami nad te, które wskazuje nauka, ani też kieruje prawami natury, których jest tylko tłómaczem. Lekarz nie może i nie powinien posiłkować się środkami nadprzyrodzonemi, których potęga istnieje w wyobraźni gminu: wszystko co przekracza granice wiedzy, wychodzi z zakresu nauki lekarskiej; a kto rzuca się na to pole, może być zręcznym *blagierem*,

szarlatanem, owczarzem i t. p. ale przestaje być lekarzem.

Wolno ludowi francuzkiemu wierzyć, że królowie dzierżący berło Ludwika ś-go posiadają władzę leczenia epilepsyj za przyłożeniem ręki; nie można zabronić chorym szukać pomocy u znachorów wszelakiego rodzaju, ale nie można łączyć tego z medycyną ani spodziewać się, żeby lekarz uzdrawiał czem innem jak rozumną radą i racyonalnemi środkami.

Źleby nas jednak zrozumiał, ktoby mniemał, że medyk pomaga choremu i leczy jego cierpienie jedynie przez *lekarstwa apteczne*, które mu podają w formie mikstur, proszków, pigułek i t. p. Zdanie dosyć rozpowszechnione nawet pomiędzy wykształceńszą publicznością, że do odzyskania zdrowia potrzeba koniecznie recepty, że lekarz nie pozostawiając choremu przepisu na krople, maści, plastry etc., lekceważy chorobę lub nie poznał jej i t. p., zdanie to, mówię, powinno koniecznie być sprostowanem i ustąpić przed zdrowym poglądem na zadanie medycyny i działalność lekarza. Recepty piszemy czasem jedynie dla tego, że chory ich pragnie, że bez nich zaniedbałby z pewnością innych poleceń naszych, nierzadko daleko ważniejszych dla chorego aniżeli pudełka i flaszki z lekami aptecznemi, które jakkolwiek częstokroć nader skuteczne i konieczne, nigdy jednak prawie same przez się, bez odpowiedniego zachowania innych przestróg co do pokarmów, napojów, powietrza i w ogólności t. zw. postępowania hygieniczno-dyetetycznego, pożądanego skutku sprowadzić nie mogą. Historya zresztą, owa pochodnia na drodze rozwoju umysłowego, przekonywa dowodnie, że począwszy od Hipokratesa, wszyscy najbieglejsi w sztuce leczenia mężowie, jak Sydenham, Boerhave, F. Hoffmann, Cullen, Frank, Hufeland, Oppolzer etc. na końcu swego zawodu praktycznego poprzestawali na kilkunastu zaledwie środkach, któremi obok przepisów stosownego zachowania się, bardzo skutecznie leczyli najrozmaitsze choroby. Gdyby też o tem pamiętać chcieli nasi koledzy, byłoby niewątpliwie lepiej dla nich a zwłaszcza dla ich pacyentów!

Dotąd mówiliśmy o leczeniu rozwiniętych już chorób, t. j. o zadaniu medycyny poczytywanem pospolicie za jedyny cel nauki lekarskiej. A przecież tak nie jest; zadanie medycyny nie kończy się bynajmniej na samem leczeniu; ma ona jeszcze inne, i nie wahamy się twierdzić, donioślejsze i pożyteczniejsze znaczenie w społeczeństwie.

Leczenie jest w ogólności trudnem i jak powiedzieliśmy wyżej, niezawsze odpowiada najszczerszym usiłowaniom lekarza; choroba łącząca się z dolegliwością musi być koniecznie przykrą, pociąga za sobą koszta i stratę czasu, a co najgorsza, naraża na cierpienia, obawę utraty i na utratę życia, przy wątpliwej w każdym razie nadziei wyzdrowienia za pomocą sztuki lekarskiej. Jest to więc ryzyko nie mające żadnego porównania z innemi klęskami, jakie człowieka w życiu spotkać mogą. Nareszcie pamiętać należy, że co się raz zepsuło w organizmie, chociaż najlepiej naprawione, pozostanie ostatecznie najczęściej nadpsutem i co najmniej pociąga za sobą w następstwie skłonność do powtórzenia się tej lub innej słabości. Choroba w wielu wypadkach jest podobna do pożaru, który objęte ogniem przedmioty niszczy a przynajmniej uszkadza: podobnie też jak straż pożarna, która nie kusi się nawet ratować tego co się pali, tylko chroni przyległe sprzęty lub domy, postępuje tak samo najczęściej przyzwany lekarz, tłumiąc chorobę jedynie w celu ocalenia ważniejszych, do życia niezbędnych organów i czynności. Wprawdzie organizm, niepojętą Mądrością rządzony, pracuje dzielnie nad odnowieniem zniszczonych części, wszakże czyż to mu zawsze udać się może z pożytkiem dla człowieka!

Kiedyśmy już potrącili o porównanie choroby z pożarem, prowadźmy je dalej, a każdy z łatwością zrozumie, że jak przy najlepiej uorganizowanej straży, bezpieczniejszą przecież byłaby ludność, gdyby pożarów wcale nie było, tak też i człowiek miałby się najpomyślniej, gdyby wcale nie chorował. Potrzebną niewątpliwie i pożyteczną jest medycyna lecząca,—ale stokroć lepszem i pewniejszem od niej jest zdrowie, czyli inaczej mówiąc, pewniejszem od skuteczności środków leczniczych jest *chronienie się od chorób i zapobieganie im*—co właśnie stanowi drugie zadanie medycyny.

Część nauki naszej opierająca się również jak i lecznictwo na znajomości prawideł życia organicznego i wyprowadzająca z tychże naukowe zasady *zachowania zdrowia* w prawidłowej sile i czerstwości, tudzież zapobiegania chorobom wypadkowym, a w ogólności *przedłużenia życia*—nazywa się *Hygieną* i stanowi w naszem przekonaniu jedną z najważniejszych i najpożyteczniejszych dla ludzkości gałęzi nauki lekarskiej. Przedmiotem badania jej jest człowiek zdrowy a założeniem przechowanie tego zdrowia do najpóźniejszej starości; pomimo to w zakres hygieny wchodzi także i chory, wszakże o tyle tylko, o ile organizm nasz utrzymać się może przy życiu pod wpływem pomyślnych warunków zewnętrznych które przy odpowiednich środkach lekarskich (czasem nawet bez nich), nadwątlone chorobą zdrowie do stanu prawidłowego przyprowadzić mogą.

Hygiena w szerszem znaczeniu jest nierozdzielną od biologii (nauki o życiu w ogólności), z której wypływa, na której się opiera i której stanowi, że tak powiem, część praktyczną.

(D. n.)

O PAJĄKACH.

(Dokończenie.)

Jak wszystkie pająki w ogóle, tak też i Tarantula nie może znieść widoku pająka innego gatunku, tem więc możemy sobie tłómaczyć jej nienawiść dla skorpiona. Żyje w południowych Włoszech, Azyi i Afryce, bywa na cal przeszło długa, gnieździ się w małych jamkach w ziemi kopanych. Ciało jej kosmate, zaokrąglone, wsparte jest na długich, grubych, czarno pręgowanych nogach. Koloru zwykle jest po wierzchu szaro-żółtego, spodem czarna. Nazwa jej pochodzi od miasta Tarentu.

Zdunek, żyjący w południowej Europie, żywi się mrówkami i innemi małemi owadami, których soki wysysa. Jest on tak leniwy i ociężały, że zginąłby pewno z głodu, gdyby go natura nie nauczyła urządzania zasadzek na zdobycz, której dźwignąć nie zdoła. Zmyślnością wiedziony, robi z miałkiego piasku lejkowaty dołek, zagrzebuje się w nim i oczekuje cierpliwie, dopóki jaki owad przechodząc, nie wpadnie w tak przygotowaną łapkę, a jeżeli jego ofiara usiłuje umknąć, albo upadając w dołek, zatrzyma się na jego brzegu, wówczas zdunek obsypuje ją, za pomocą sterczącej w ukryciu główki i żuwaczek, mnóstwem ziarn piasku, któremi spychana

zdobycz aż na samo dno lejka spada. Teraz zdunek wysuwa się z ukrycia i ofiarę wysysa. Po ukończeniu uczty, nadwerężone ściany lejka skrzętnie naprawia, i znowu ukrywa się w zasadzce, czekając cierpliwie świeżego łupu.

Te trzy powyżej opisane gatunki, należą do pająków nieprzędących, również jak i *Kosarz*, którego często spostrzegamy przyczepionego za pomocą długich, cienkich nóg, do murów, drzew lub okiennic. Nogi jego mają tę szczególną własność, że po oderwaniu długo jeszcze drgają. Pająk ten nie posiadając sztuki budownictwa, innym sposobem jak zdunek lub pająki przędące, szukać musi pożywienia. W tym celu, ukrywa się w szczeliny ścian lub drzewa, i tu oczekuje na zbliżającą się muszkę lub inne żyjątko, a gdy je spostrzeże, jednym susem wyskakuje i jak rabuś, niespodziewającą się śmierci istotę napada i hakami swemi zakłuwa. Lecz niezawsze na sucho rozbój mu taki uchodzi, czasem źle się obrachowawszy z własnemi siłami, napada na silniejskiemu; gdy tymczasem inne, ciepłym krajom właściwe gatunki, przędą pajęczynę tak mocną, że ta zdolną jest ptaszki w locie zatrzymywać i że nawet człowiek musi użyć siły do jej rozerwania.

Zawsze misterne, a często podziw wzbudzające rozpinanie siatki pajęczej na wielką zasługuje uwagę. Często widzimy pajęczynę nad strumieniem lub między dwoma oddalonemi drzewami rozpiętą. Jakim sposobem pająk mógł to uskutecznić? Przypuszczano, że ma własność pryskania kleistej cieczy daleko od siebie, i że ta tężejąc, tworzy pajęczynę znacznej długości. Tymczasem tak nie jest; gdyż spostrzeżono, że pająk obrawszy sobie jeden punkt podpory, wysnuwa długą nić, którą na wolę wiatrów wypuszcza. Ta w rozmaite strony pędzona, natrafia nareszcie na jakąś podporę, do której się przyczepia i tym sposobem tworzy most, po którym pająk przejść może.

Nieraz zwierzątko to długo czekać musi na urzeczywistnienie swoich planów, i nieraz kilkakrotnie nić taką wysnuwać jest zmuszone. Lecz pająkom nie brak

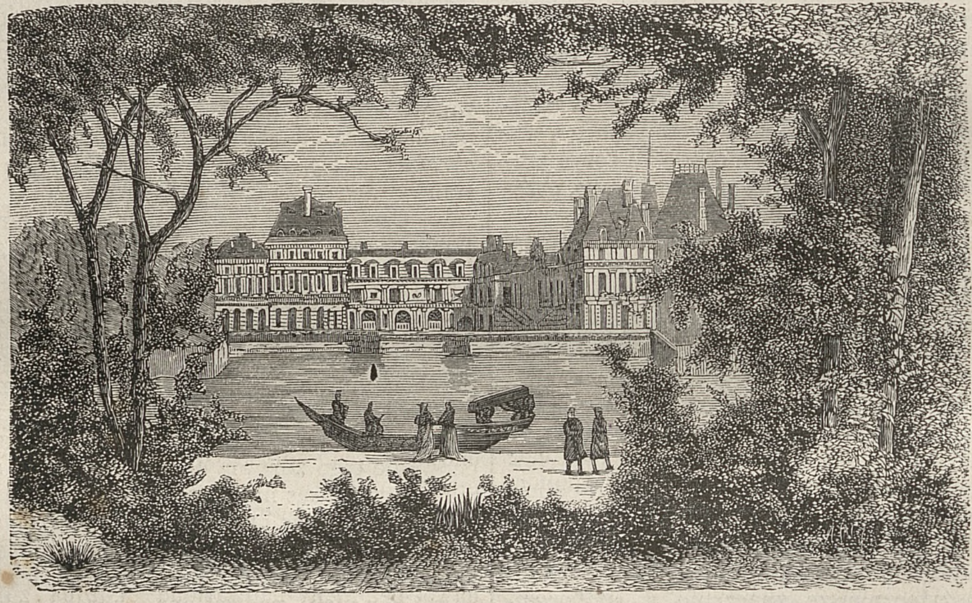


Fig. 15. Ogród w Fontainebleau.

sze od siebie stworzenie, a to, broniąc się, zabija napastnika.

Daleko ciekawszym jest dział pająków przędących, z powodu kunsztowności jaką w rozpinaniu sieci okazują. Do tych, prócz naszego *Krzyżaka*, należą pająki mające pod spodem odwłoka czyli brzucha, cztery do pięciu stożkowatych brodawek, przepustnicami zwanych. Brodawki te badane pod mikroskopem, przedstawiają mnóstwo otworków, z których sączy się płyn kleisty, tężejący przy zetknięciu z powietrzem, i tworzący wówczas nitki składające przędzę. Za pomocą tylnych nóg w grzebyki opatrzonych, pająki skręcają te niteczki w jednę grubszą; i tym sposobem większą moc im nadają. Przędza ta służy pająkom zarówno do wyściełania gniazd, obwijania jaj, jak i do robienia siatki. Kolor i grubość nitek są bardzo rozmaite; jeden z pająków amerykańskich robi sieć z zadziwiającą zręcznością, złożoną z nici czerwonych, żółtych i czarnych razem poskręcanych. Wyrachowano przytem, że dziesięć tysięcy nitek, wychodzących z brodawek naszych zwyczajnych pająków, nie wyrównywają co do grubości jednemu włosowi końcierpliwości i chęci do pracy. Nie od rzeczy będzie tu przytoczyć podanie, bardzo rozpowszechnione u ludu szkockiego, a wskazujące jak dobry przykład, nawet przez tak małe jak pająk stworzenie, oddziałać może na człowieka:

Robert Bruce, król Szkocyi, żyjący w początku XIV wieku, pozbawiony przez Anglików swojego królestwa, napróżno kilkakrotnie używał różnych środków dla odzyskania straconego tronu; w końcu odstąpiło go męztwo i postanowił zrzec się wszelkich nadziei i udać się do Ziemi świętej. Siedząc w wiejskiej chacie, rozmyślał nad swojem położeniem, i gdy pogrążony w zadumie podniósł oczy ku pułapowi, spostrzegł pająka przyczepionego na nici do belki, który bujając w powietrzu usiłował dostać się do drugiej, lecz zawsze bezskutecznie.

Bruce baczniejszą na niego zwrócił uwagę, i gdy sześć niepomyślnych tego zwierzątka pokuszeń naliczył, przyszło mu na myśl, że i on przegrał tyleż bitew z Anglikami; rzekł więc do siebie: «Los tego pająka będzie dla mnie wyrocznią: jeżeli uda mu się dostać do drugiej belki, wówczas i ja na siódmą wyprawę się odważę; lecz

jeżeli mu się nie powiedzie, to opuszczę kraj i do Ziemi świętej się udam».

Tymczasem pająk, ponowiwszy swoje usiłowanie, nić u belki zawiesił. Bruce wówczas nabrał ducha, postanowił raz jeszcze losu bitwy spróbować, i po kilkakrotnych zwycięztwach państwem swojem na nowo władać począł. Szkocya zyskała w nim mężnego króla i do najsławniejszych swoich monarchów go liczy. Pomnąc na tę legendę, w Szkocyi wiele jeszcze osób i dziś za żadną cenę pająka nie zabije.

Liczne robiono doświadczenia co do zużytkowania tkaniny pająków; i tak np. pan Bon, członek akademii królewskiej w Montpellier, w r. 1709 przedstawił na posiedzeniu tejże akademii wypadek czynionych prób nad przerobieniem pajęczyny na jedwab, i na poparcie swoich dowodzeń pokazał pończochy i rękawiczki utkane z pajęczej przędzy. Za przykładem Bona, wiele osób rzuciło się do hodowania pająków; również i w Niemczech, gdzie klimat dla pielęgnowania jedwabników nie jest przyjazny, bardzo się tą kwestyą zajmowano i chciano jedwabniki pająkami zastąpić. W parę lat potem wyszła w Lipsku broszurka pod tytułem: Wiadomość o nowym rodzaju jedwabiu, przez Piotra Busch, pastora w Hanowerze. Lecz to wszystko nie było dostatecznem do rozwiązania tego zadania. Dla wyjaśnienia więc k w e s t y i, akademia powierzyła tę mozolną czynność sławnemu Réaumurowi, który jej z właściwym sobie zapałem i starannością dokonał. Rezultaty tych badań nietylko nie odkryły wyższości pająków nad jedwabnikami, lecz przeciwnie wykazały wiele stron ujemnych, a to z powodu że wrodzona pająkom ruchliwość i częste zmienianie miejsca, a także drapieżność, posunięta u niektórych przędących do tego stopnia, że jeden drugiego zabija, nie dozwoliły obliczyć, ile przy naturalnym sposobie życia przędzy produkować są zdolne; a oprócz tego przekonał się Réaumur, że pajęczyna zamało ma spójności, aby mogła być z dobrym skutkiem na dalszą przeróbkę obracaną. Tak więc spełzły na niczem nadzieje użycia tego zwierzątka dla korzyści ludzkiej. Lecz może z czasem, znajdą późniejsi badacze gatunek jaki zaeuropejski, który wynagrodzi daremne mozoły tylu znakomitych ludzi; wszakże i z pomiędzy tylu gatunków gąsienic, jedne tylko jedwabniki chińskie okazały się pożytecznemi dla przemysłu.



Fig. 16. Wersal.—Sadzawka Flory.

W rzędzie tych, że tak powiem, artystów, spostrzegamy wiele gatunków różniących się widocznemi między sobą cechami. I tak: największy z nich, bo dochodzący 6 cali długości, jest *Ptasznik*, (fig. 1.) mieszkający w Ameryce południowej. Oprócz siatki, która nie odznacza się pięknością i foremnością, zadziwiającą okazuje zmyślność przy budowaniu gniazda; gdyż jego lepianki nietylko są obszerne i wygodne, ale nawet przedstawiają się jako dzieło skomplikowanej konstrukcyi. Celem postawienia takiej budowli, ptasznik wygrzebuje w gliniastym gruncie walcowatą dziurę na 3—4 cali głęboką i powleka jej ściany mieszaniną wapna z piaskiem, następnie układa naprzemian warstwy marglu i pajęczyny i tworzy z nich wieko odpowiednie otworowi wylepionej jamki, tak jednakże, iż się tylko na zewnątrz otwierać może. Zawiasy na których wieko się obraca, są to przedłużenia warstewek przędzy, które od jednego punktu na obwodzie drzwiczek spadają aż do rurkowatego gniazda niżej położonego, tworząc tam miękkie wyścielenie, jakby w celu dodania temu mieszkaniu więcej powabu. Zewnętrzna powierzchnia wieka chropowata, prawie się nie różni od otaczającej ją ziemi, ale wewnętrzna jest zupełnie gładka.

Znany pająk tego samego gatunku, tak zwany *Mularz*, ma gniazdo podobnie urządzone jak Ptasznik, z tą różnicą, że na stronie przeciwnej zawiasom jest szereg dziurek, gdzie w razie napadu, zapuściwszy nogi jednej połowy, a wspierając drzwi nogami drugiej, szczelnie przytrzymuje klapę i tamuje wejście nieprzyjacielowi. Tak Ptasznik jak Mularz uważają gniazdo tylko za schronienie, szukając zaś pożywienia pną się po drzewach, i w podobny sposób jak Kosarz zdobycz swoją chwytają. Ptasznik, jak powiadają, tak jest silnym, że dusi małe ptaszki zwane kolibrami.

Z naszych pająków najpospolitszemi są:

Krzyżak, tak zwany z powodu plamek białych na grzbiecie w kształcie krzyża ułożonych; żyje w lasach, piwnicach, stodołach i t. d., unikając strannie mieszkań ludzkich, czem głównie różni się od pająków domowych. Siecie rozpina w następujący sposób: zarzuciwszy nić główną w kilku rozmaitych k i e r u n k a c h, przyczepia do niej inne, które obwód całej t k a n i n y stanowią, a przeprowadziwszy przekątnę, ze środka jej wyciąga znaczną liczbę promieni, następnie, poczynając od obwodu, nigdy zaś od środka, snuje foremną ślimakowatą linię, która z promieniami tworzy czworokątne oka, coraz to drobniejsze, w miarę zbliżania się do środkowego punktu, w którym później zasiada, czekając na skrzydlatą zdobycz. W taki sam sposób urządza siecie pająk *Omatnikiem* zwany. Ten nie czeka aż ofiara życie postrada szamocząc się w przędzy, lecz bojąc się by mu zdobycz nie uciekła, natychmiast, skoro tylko owad jaki o sieć się zaczepi, wybiega i obwija go jeszcze nitką, a nie bojąc się już walki ze skrępowanem zwierzątkiem, hakami go swemi przeszywa.

Oprócz wielu innych z rodzaju przędących, godnym wzmianki jest mały pajączek, którego odkrycie wyjaśniło początek tak zwanego *babiego lata*. *Spionek* żyje w wielkiej ilości na naszych polach i łąkach, na których w ciepłe dni jesienne rozciąga swe srebrzyste nitki. Te, porwane wiatrem, unoszą się daleko i często nie napotykając żadnej zapory w swym biegu, aż do miast dolatują.

W początku lata ścielą sobie spionki misterne gniazdeczka. Często na łanach pokrytych dojrzewającym owsem, spostrzedz można jakby powiązane ze sobą w pęczki po kilka łodyg tej rośliny. Otóż te poplątane i pomięte kłosy mieszczą w sobie gniazda małych tych pajączków. Obrawszy kilka łodyg owsa za fundament przyszłej siedziby swojej, spionek ściąga jedną do drugiej i mota, a następnie snując tkaninę cienką, jedwabistą, białą jak puch łabędzi, wplata w nią ziarna rośliny dla utrwalenia filigranowej przędzy, a na wierzchu ułożywszy ściśle też same ziarna, ochrania gniazdko swoje niby strzechą od deszczu. Tak się zabezpieczywszy,

spokojnie pogląda na wiatry i burze, będąc przekonanym, że dzieło jego te wszystkie wstrząśnienia wytrzyma.

Inne podobne spionkowi pająączki, zamiast owsa obierają łodygi gorczycy na podwaliny swoich mieszkań. Gdy już strączki gorczycy są sformowane, gdy roślina nabierze sprzężytości, pająk zaczyna przędzę, łączy nią strączki, a następnie w rozgałęzieniu łodygi umieszcza zieloną kulkę zawierającą jajeczka. Po kilku dniach wykluwają się malutkie i rozchodzą po tkaninie, pod gniazdkiem, jakby sieć ochronna, rozpiętej. Tam wprawiają swe nóżki młode, probują prząść i spożywają pokarm nagromadzony przez troskliwą matkę. Wtedy, z jakąż obawą, z jak troskliwą pieczą matka nad niemi czuwa! Zwykle trwożliwa, nabiera męztwa gdy o los jej dziatwy idzie; nie zważa czy nieprzyjaciel silniejszy jest od niej i nie wyczekując napadu sama pierwsza uderza, aby tylko od uwagi napastnika zasłonić niedołężne jeszcze dzieci swoje.

Pewnego razu, zaciekawiony i zapomniawszy moich obowiązków członka opieki nad zwierzętami, byłem tyle okrutny, iż popsułem takie gniazdeczko. Chciałem jak dziecko, zobaczyć co też tam jest w środku... i ujrzałem mnóstwo jajeczek jak mak drobnych, z których wiele było dziwacznego kształtu; po bliższem zbadaniu przekonałem się, że te są już w późniejszej chwili rozwoju, bliższe wyklucia się z nich pająączków. Gdym robił te spustoszenia, biedna matka, bezsilna w obec takiego napastnika, z rozpaczą biegała za jajeczkami tu i owdzie, chcąc je napowrót do gniazdka zgromadzić. Niestety! próżna to była praca, rozsypały się bowiem po ziemi. Drugi raz (mamże się przyznać?) przyszła mi chętka tę samą psotę (mógłbym powiedzieć: studyowanie przyrody) powtórzyć. Rozdarłem z jednej strony gniazdeczko: ale żal przyszedł, choć po czasie, i nie zapuściłem w nie ręki drapieżnej, z czego korzystając przewidująca matka, z pośpiechem przędła tkaninę, którą szczelnie rozdarcie łatała. Byłem natyle srogi i ciekawy, że kilkakrotnie naruszałem spokój tej niewinnej istoty, i za każdym razem powtarzała ona tę samą pracę i naprawiała uszkodzone gniazdeczko.

Do tego działu należy jeszcze *Topnik*. Żyje on pod wodą, gdzie rozpina sieci i buduje siedzibę napełnioną jak balonik powietrzem, a oprócz tego w szybkich swych ruchach pod wodą wydaje nam się, jak gdyby był otoczony srebrną połyskującą aureolą.

W obec takich dowodów miłości macierzyńskiej, cierpliwości i wytrwałości w pracy tych małych stworzonek, powinnibyśmy zwalczać odrazę której wielu z nas doznaje na widok pająków, i podziwiać Mądrość najwyższą, tak szczodrze uposażającą każdą istotę której życie dała; ale jak w całym żyjącym świecie widzimy obok istot pożytecznych, a przynajmniej nieszkodliwych, i takie, których jedynem zadaniem zdaje się być dręczenie innych, tak i między pająkami są gatunki pasożytne, które wgryzając się w ciała innych zwierząt, sprawiają ból i choroby nietylko dokuczliwe, lecz często trudne do wyleczenia.

Takiemi są *Moliki* i *Kleszcze*. Do pierwszych należy *świerzb owczy*. Bardzo pospolity w jesieni na polach, wgryza się ludziom pod skórę, gdzie obecność jego nieznośne swędzenie sprawia. Mnożąc się w krętych podkopach pod skórą, jest powodem jednej z najobmierźlejszych chorób ludzkich,—to jest *świerzbu*. Dawniej dotkniętych tą chorobą poczytywano za nieczystych i unikano nieszczęsnych, zostawiając ich na pastwę strasznym cierpieniom; dziś dzięki postępowi nauki i na tę dawniej niepodobną do uleczenia chorobę, znajdują się skuteczne leki.

Kleszcze, mianowicie jeden gatunek, kleszcz brazylijski, przypina się do ciała psom, wołom i t. p. i tak głęboko zapuszcza swój smoczek, że niepodobna go odjąć, bez wyrwania razem z nim części skóry do której się przyczepił. Podług zapewnień osób będących w Ameryce, tak znaczna bywa tam niekiedy mnogość tych pasożytów, że pokryte niemi woły i konie ginąć muszą z wycieńczenia.

Są jeszcze inne pająki, zwane *bezdysznemi* (gdyż dotąd organów oddychania w nich nie znaleziono), które żyjąc w morzach i słodkich wodach, lub też mikroskopijnie małe i nieszkodliwe, mało dotychczas zwracały na siebie uwagę badaczy przyrody.

Dr. Z. K.

ISKIERKI Z PARYŻA.

Parę słów o pracy.—Nowy rok.—Odczyty.—Podróż na księżyc przez Offenbacha i... Flammariona. — Konferencye astronomiczne, filozoficzne i teatralne.—Nowe dramata.—Poezya prowansalska.—Żywot poczciwego człowieka.

Ogniska domowe, koła rodzinne, na całym świecie są uważane jakby nagroda po trudach i pracach codziennego życia. Tęsknią do nich oddaleni, oceniają ich wartość ci którzy je utracili, żałują po niewczasie tacy, którzy ich sobie w porę stworzyć nie umieli.

Obecnie jednak w gwarnych kołach rodzinnych mniej jest wesołości;—jakiś niepokój nurtuje pocichu i nie na długo pozwala gościć swobodnym myślom. Bo wszędzie objawiają się jakieś wady w społecznej organizacyi. W jednym kraju życie fabryczne do zbytku rozwinięte, ledwo na chwilkę kiedy niekiedy pozwala tysiącom ludzi oderwać się od huku kół maszynowych i duszących kłębów dymu, lub toczy serca spekulantów zawiścią i chciwością, siejąc zgryźliwość w życiu domowem. W innym, brak pracy zasępia czoła ludzi chcących pracować i wiedzie za sobą niedostatek i niewiarę w dobre chęci drugich. Owdzie, myśl ludzka zawsze w sferę nierozwiązalnych nadziemskich zagadnień zwrócona, rozdrażnia ducha i odbiera mu tę pogodę, co tak słodko wpływa na codzienne życie. Tam znowu, młodzież tylko specyalnie w jakimś zawodzie ukształcona, nudzi się wśród grona, które nie chce słuchać rozmowy o przedmiocie ponętnym tylko dla specyalisty. Najprzykrzejszą jednak, bo ponurą atmosferę wszędzie i na całym świecie spotyka się wśród ludzi nieumiejących korzystać z darów fortuny, oddanych życiu bezmyślnemu i ceremonialnemu, którzy nie rozumiejąc, czy nie chcąc rozumieć obowiązków rodzinnych, poza ich obrębem szukają zadowolenia i przyjemności, a do spełnienia obowiązków społecznych wcale się nie czują zobowiązanemi.

Taki stan społeczeństwa byłby nieznośnym, gdyby nie był przechodowym; bo ludzkość w ciągłem dążeniu ku dobremu, musi się pozbyć wielu moralnych chorób, gniotących ją całym swoim ciężarem a na które odwieczna Mądrość przepisała niezawodne i pełne obietnicy lekarstwo: *Pracuj człowiecze, a ja ci dopomogę.* Badając dzieje widzimy, że ile razy praca materyalna szła w parze z kształceniem ducha, wówczas pojawiały się najpiękniejsze chwile ludzkości;—lecz gdy jedno kwitło a drugie leżało odłogiem,—to pomimo świetnych pozorów, stało się zwykle nad przepaścią, która niechybnie pochłaniała cały owoc trudów ludzkiego mrowiska.

Po takiej katastrofie następowały całe epoki zwątpienia, pozornego zastoju umysłowego, poczem znowu nagły ruch pchnął życie na nowe drogi... I tak ciągle działo się aż do naszych czasów, które jakkolwiek nam się doskonalszemi od dawnych wydają, może się wydadzą maluczkiemi dla przyszłych wieków i pokoleń.

To przypuszczenie nie powinno nas zniechęcać do tego, nad czem każdy w swoim zawodzie pracować powinien; bo jeżeli po tysiącznych ruinach przeszłości z każdej epoki znajdujemy ślady, choć małe, pracy i działalności ówczesnych ludów, które nam służą do złączenia w jedną całość moralnych i materyalnych objawów tejże działalności, to i wiek XIX-ty powinienby pozostawić po sobie dość trwałe pomniki naszych prac i zabiegów. Francuzi silnie trzymają się tej zasady, i choć przeszli niedawno przez srogą wojnę i ciężkie ciosy materyalne, nie leniwo pracują, aby zatrzeć te wszystkie bolesne ślady. Mają też wśród siebie zawsze ludzi czuwających i niedających obumrzeć żadnej gałęzi wiedzy ludzkiej.

Święta Bożego Narodzenia, Nowy Rok, i idące z tem w parze rozmaite wystawy magazynowe i budki drobnych przekupniów wystawione na bulwarach z najrozmaitszemi rzeczami dla użytku i zabawy, aby ułatwić każdemu nabycie oczekiwanej ciekawie przez cały rok kolendy noworocznej, są jakby pochwaleniem się przemysłowców ze starań i nakładów, jakich nie szczędzą aby w najdrobniejszej jak i najartystyczniejszej rzeczy dobry smak z pięknem wykończeniem połączyć. Świetne wystawy brylantów, nietyle budzące podziwu pięknością kamieni, ile prześliczną ich oprawą, przybierającą najrozmaitsze formy, dowodzą że szkoła jubilerów francuzkich dużo pracuje nad rysunkiem i wybornie jest kierowana w głównem swem ognisku, przy szkole *des Arts et métiers.*

Zabawki dziecinne, cukry, ozdoby kominkowe, bronzy—wszystko to się nie rozmija z artyzmem; można jednak dostać i przedmiotów bardzo prostej i niezgrabnej roboty, które kupują biedacy, chcący czemkolwiek dzień Nowego Roku swoim blizkim uprzyjemnić. Dziwny zwyczaj miejscowy pozwala w tym dniu wszystkim żebrakom chodzić po ulicach i prosić o jałmużnę. Zalegają oni wejścia do kościołów, pełno ich po bulwarach i ulicach, i to spotykanie częstokroć okropnej nędzy, owych dzieci wynędzniałych z głodu, obdartych matek lub zgrzybiałych kalek, obok tych świetnych magazynów, tych kosztownych świecideł, tych cudnych kwiatów z których bukiety niezmiernie kosztowne znajdują licznych nabywców, pragnących za ich pośrednictwem dać dowód stosowny rozmaitych uczuć, których owe kwiaty mają być symbolem, i owe tłumy ludzi wychudłych z nędzy, stanowią bardzo przykrą sprzeczność. Niektórzy mówią że dość między niemi jest nędzy udanej; ale bądź co bądź, właściwiej wyglądają na ulicach żebracy w dzień Zaduszny, jak to bywa w niektórych krajach, niż w świetnym dniu Nowego Roku, gdzie każdy, zaprzątniony to swoją kolendą, to wizytą, to jakimś urzędowym obowiązkiem, częstokroć mimowoli ani zauważy biedaka, co do niego rękę wyciąga.

Jedną z najpiękniejszych publikacyj, w liczbie kolend cytowaną w tym roku, są cztery ewangelie z illustracyami Bidy. Jest to dzieło pomnikowe. Druk, papier, rysunek, miedzioryty, wszystko to wspaniałe. Księgarnia Hachette upamiętni siebie tem wydawnictwem na długie lata, — bo też i nakładu nie żałowała; koszta wydawnictwa przenoszą podobno milion franków. Biblia *Doré'go* jest daleko uboższem wydaniem.

Mnóstwo osób cisnęło się także przez czas świąt aby obejrzeć obraz *Meissonnier'a* wystawiony w *Cercle artistique* na placu Vendôme, zakupiony za 300,000 franków przez dom handlowy Stuarta w Nowym Yorku, a wyobrażający przegląd wojsk przez Napoleona I-go w przeddzień bitwy pod Friedlandem. Taka ogromna cena zamyka poniekąd usta krytyce, ale nie można się zgodzić na piękność koni, których tam jest dużo, i bezwarunkowo chwalić plan obrazu. Wyborny jest ruch rąk z dobytemi i w górę wzniesionemi pałaszami, który dał wiele życia temu obrazowi, — a więcej jeszcze napełnił kieszenie artysty. Ale obrazek Meissonniera w muzeum Luksemburgskiem, choć daleko mniejszy, *Napoleon III pod Solferino*, jest daleko ładniejszy i lepiej wykończony. Tamten podobno 10 lat pracy kosztował artystę, — ale mu się wypłacił...

Zima jest porą największego ruchu umysłowego w Paryżu. Wszystkie zakłady naukowe otwarte; — rozmaite kursa na wszystkich punktach miasta ułatwiają naukę. W Collège de France, najlepsi profesorowie w dzień wykładają najrozmaitsze przedmioty, z czego można korzystać bezpłatnie. Nie na wszystkich kursach dużo bywa słuchaczy; najwięcej ich zgromadzają Frank i Guizot —ale prawo każe aby się kurs nie zamykał, jeżeli choć trzy osoby nań uczęszcza. Wieczorem zaś bywają bezpłatne kursa w Sorbonie i konferencye w różnych stronach miasta, za opłatą. Z tych najsłynniejsze są w sali na bulwarze des Capucines, i niedawno otwarte na ulicy du Bac. Prócz tego są wykłady botaniki, ogrodnictwa, sadownictwa i historyi naturalnej w bogatem muzeum botanicznego ogrodu; posiedzenia artystyczne i przemysłowe, akademickie i towarzystwa geograficznego. To ostatnie coraz więcej liczy członków, gorliwie pracuje i zachęca całemi siłami wszelkie przedsięwzięcia, w celu utrzymania imienia Francyi na zaszczytnem stanowisku.

Konferencye, czyli jak u nas właściwiej to nazywają, odczyty (gdyż nie ma tam rozpraw, tylko wykładający i słuchacze), miewane codziennie na bulwarze des Capucines, w salce zupełnie brzydkiej, skleconej z kilku izdebek podpartych nędznemi filarkami, podobnej do klatki, są jakby odpoczynkiem umysłowym dla ludzi dojrzałych i zdaniem sprawy ze wszystkiego co się na polu umysłowem, przemysłowem i artystycznem na całym świecie dzieje. Pan Lapommeraye co poniedziałku zdaje sprawę z nowości teatralnych; Francisque de Sarcey we czwartki, z książek w tygodniu wydanych — p. Flammarion popularyzuje astronomię dwa razy na miesiąc w sobotę. Pan Legay miał odczyt «o Amerykance» który dwa razy powtórzyć musiał — i «o Angielce.» Ganił Angielkę arystokratkę, — unosił się nad kobietą średniego stanu i straszny skreślił obraz nędzy robotników. Pan Flammarion w tym roku zaczął od *prawdziwej podróży na księżyc*, do czego pobudziła go fantastyczna sztuka *Voyage dans la lune*, dawana w teatrze la Gaîté i ściągająca tłumy widzów, co daje dyrektorowi tego teatru ogromne dochody i dla tego ogłaszają ją jako *grand succès du jour* — a uczeni i poważne pisma melancholicznie się wyrażają o tem, że nigdy Sorbonna i inne zakłady naukowe nie zwabiają takiej massy słuchaczy. Bo bardzo myliłby się każdy ktoby mniemał, że «Podróż na księżyc» z muzyką Offenbacha jest czemś poważniejszem niż wszystkie utwory podobnego rodzaju. «*Podróż na około świata w 80 dniach*» która się utrzymała przez rok przeszło na scenie zawsze z jednem powodzeniem, miała tę przynajmniej zasługę, że przeprowadzała ciekawych widzów przez różne kraje świata, ukazując wiernie — ludzi, zwyczaje i osobliwości tameczne, a zatem mogła czegoś nauczyć massy, które mało czytywać mogą. «Podróż na księżyc» jest napisana dla bawienia i śmieszenia, i odpowiada temu zadaniu w zupełności, przy wybornych dekoracyach, ale nauka nic na tem nie skorzysta, bo nawet jest ośmieszona. Osądźcie sami: Jakiś król *Vlan* (zapewne jest to skrócenie wyrażenia *en voilà un*) wysłał syna *Kaprysa* z nauczy-

cielem, uczonym *Mikroskopem*, w daleką podróż i czeka jego powrotu. Mikroskop pierwszy wchodzi; sama jego postać jest ciągłą pobudką do śmiechu, do czego frak perłowy do kostek i guziki żółte pod łopatkami nie mało się przyczyniają. Z wielkiem roztargnieniem rozmawia z królem, bo ciągle patrzy na zegarek, chcąc pobiegnąć do damy swojego serca, *Kolombiny*, której długo nie widział. Wchodzi książe Kaprys. Po serdecznem przywitaniu się z ojcem, już jest znudzony, już mu się czegoś nowego zachciewa. Ojciec sam nie wie czem mu dogodzić, aż oto księżyc oświeca pokój. Kaprys woła że chce na księżyc pojechać i tu śpiewa śliczną pieśń do księżyca, która w każdym salonie podobać się może, i dowodzi że talent Offenbacha może tworzyć nie samą tylko pajacowską muzykę.

(C. d. n.)

SZKICE
Z DZIEJÓW I ESTETYKI OGRODNICTWA.

(Ciąg dalszy.)

Pierwszem wielkiem dziełem Le Nôtre'a był park Fouquet'a w Vaux, który najwięcej wzbudził zazdrości w Ludwiku XIV i był jednym z powodów niełaski nadintendenta. Fontainebleau a nawet Rueil, gasły przy tych ośmiuset morgach, poprzerzynanych kwaterami kwiatowemi, gajami z sadzawkami, których nabycie (w 1640 r.) i urządzenie, kosztowało najmniej ośmnaście milionów fr. Twórcę owych cudów powołano do popisania się z nowemi, któreby zaćmiły Vaux, i w tym celu oddano mu rozległą równinę Wersalską, przestrzeń smutną a zarazem bagnistą i bezpłodną. W tak niedogodnych warunkach, Le Nôtre w razie powodzenia mógł podwoić swą sławę, chociaż koszta robót mogły tu pomnożyć się stokrotnie. Powiadają, że Ludwik XIV zażądał szczegółowego wyliczenia wszystkich projektowanych przyozdobień, i przy każdym wodotrysku, przy każdej sadzawce, odzywał się: «Le Nôtre, winienem ci dwadzieścia tysięcy franków.» «Zrujnowałbym cię, Najjaśniejszy Panie, gdyby Wasza Królewska Mość ofiarowała mi więcej», odpowiadał dzielny rysownik, zachwycony swemi planami i uradowany myślą zaoszczędzenia kassy swego króla. Ta anegdota wskazuje jak mało wielki król cenił skarb publiczny; nie oszczędzał on złota równie jak krwi Francuzów. Gdy okazało się że machiny wodne w Marly, zasilające wodami sekwańskiemi wodotryski wersalskie, nie mogły pomimo swych dwustu dwudziestu jednej pomp, wystarczyć nienasyconym potrzebom pożerczych wodotrysków nowego parku, zamierzono czerpać wodę z rzeki Eure, płynącej w odległości pięćdziesięciu kilometrów od Wersalu. Wykopano w tym celu kanał ciągnący się aż do Berchères le Mangot. Pozostawało jeszcze dwie mil francuzkich do przeprowadzenia wody, i natychmiast rozpoczęto budowę dwustu czterdziestu dwóch arkad.

Około tych robót hydraulicznych pracowało aż trzydzieści sześć tysięcy żołnierzy, których tu legły tysiące; — co noc wozy pogrzebowe zabierały nieboszczyków. «*Ta niedogodność*, powiada pani de la Fayette, *nie zdawała się zwracać niczyjej uwagi, wśród błogiego pokoju którego używano*».

Zabójcze te roboty zostały przerwane przez wojnę i już ich nigdy nie ukończono. System rowów, mających pięćdziesiąt mil francuzkich długości, i wody stawów przyległych, wystarczały przy uroczystościach, do zapełnienia niezliczonych rur rozprowadzonych pod ogrodem i na parkietach, których sklepienia dochodziły kilkumetrowej wysokości. Wreszcie ogrody zaopatrzone w wodę, przystrojone zostały dopełniającą je ornamentyką posągów, wazonów i kolumnad.

Wpośród nieporównanych czarów tej miejscowości, pierwsze miejsce zajmowały: oranżerya, aleja wodna, sadzawka Neptuna, łaźnie Apollina i Latony, sala balowa i kolumnada. Nie wspominamy tu o ogrodzie królewskim, założonym w 1816 r., ani o labiryncie, w miejscu którego w 1775 roku zasadzono gaj królowej.

Oranżerya zbudowaną była w 1685 r., poniżej parteru, między dwoma wspaniałemi rzędami schodów o stu stopniach. Jest to arcydzieło architektury Mansard'a, nieustępujące nawet zamkowi. Aleję wodną, przed północnem skrzydłem pałacowem, nakreślił ołówek Klaudyusza Perrault'a. Na sadzawce Neptuna, z kamiennych Trytonów, Najad i koni morskich, rozlewały się pieniste potoki wody, rozsiewające blaski tęczy w promieniach słonecznych. Wkrótce jednak zmieniał się obraz, po ruchu następował spoczynek i cisza, które zdawały się przypominać starość Ludwika XIV, gdy wielka okazałość reprezentacyj królewskich przestała olśniewać oczy dworaków. Według Dangeau, król w 1685 roku pierwszy raz widział funkcyonowanie machin w sadzawce Neptuna. Pomimo pochwał im oddawanych, nie mogły się one ani mierzyć z motorami Girardon'a i Rignauldin'a, które wprowadzały w ruch wodotrysk Febusa. Grupa figur przyozdabiających łaźnie Apollina, będąca chlubnem świadectwem rozwoju rzeźby francuskiej w roku 1662, mieściła się z razu w grocie Tetydy, gdzie w 1664 roku odbyły się uroczystości na cześć panny la Vallière. Gaj Apollina przerobionym został przez Huberta Roberta w 1775 roku, i nic nie stracił ze swego pierwotnego powabu. Baltazar Marsy, twórca sadzawki Latony, wybrał chwilę w której Latona zmienia w żaby i w inne wodne zwierzęta, krzywdzących ją wieśniaków. Sala balowa, czyli gaj wodotrysków, jestto elipsa przyodziana w zieleń przyozdobioną stopniami z kamieni i muszli, z której w czasie uroczystości wylewały się wody, zabarwione sztucznem światłem. Delfin francuzki lubił obiadować w tem miejscu, a dwór często tu zgromadzał się na zabawy tańcujące. Naprost wodotrysku wznosił się odarniowany amfiteatr. Sala balowa położoną była od strony oranżeryi, a zielony kobierzec oddzielał ją od łaźni Apollina.

Wielki kanał przepływający przez środek parku leśnego, i rozdzielający go na dwie poprzeczne połowy, przedstawia okazałe wymiary; — szerokość jego wynosi 208 stóp pols. — długość 5547 stóp pols. Za Ludwika XIV po tych majestatycznych wodach unosiły się liczne statki, a głównie weneckie gondole, obsługiwane przez wioślarzy i majtków, dla których założono oddzielną wieś w pobliskiej okolicy. Na kanale tym, król w towarzystwie Delfina i księżniczek, często używał przejażdżki i wieczerzał. Uroczystości kończyły się tu zawsze ogniami sztucznemi, a barwy światła przepysznie mięszały się z falami. W 1770 roku, gdy następca tronu, późniejszy Ludwik XVI, wstępował w związki małżeńskie, na kanale zabłysło sztuczne ogniste słońce, obrzucając blaskiem

cały horyzont, a dwieście szalup przystrojonych w szkła kolorowe, pruło gorejące wody.

Szczęśliwe urządzenie ogrodów w Wersalu, przyniosło Le Nôtre'owi godność nadintendenta wszystkich parków królewskich. Nie rozbudziło to przecież jego dumy; — powiadano, że w swej tarczy herbowej chciał mieć tylko rydel i trzech ślimaków uwieńczonych w liście kapusty.

Le Nôtre umarł w 1700 roku, przeżywszy, jak powiada Saint-Simon, ośmdziesiąt ośm lat, w najdoskonalszem zdrowiu, zachowując całą młodzieńczość ducha, dobry smak w sztuce i przedziwną twórczość umysłu.

Pozyskawszy sławę pierwszego rysownika ogrodów, któremi przyozdobił Francyę, wyprzedził on Włochów, nie mogących mu sprostać w tej sztuce. Najsłynniejsi też artyści włoscy przybywali do stolicy Francyi czerpać naukę i podziwiać mistrzostwo Le Nôtre'a. Prawość charakteru, ścisłość w pełnieniu przyjętych zobowiązań i uczciwość, zjednywały mu serca i szacunek wszystkich. Le Nôtre nigdy nie wynosił się, nie zapominał o stanie z jakiego powstał, i był zawsze najzupełniej bezinteresownym. Pracował dla osób prywatnych z równą gorliwością i pilnością, jak dla króla; w pomysłach swych starał się tylko wspierać naturę i osiągać piękno o ile można kosztem najmniejszym — odznaczał się przytem w życiu szczerotą i prawdą.

Papież prosił króla, aby mu na kilka miesięcy przysłał Le Nôtre'a. Ten wchodząc do pokoju Papieża, zamiast paść na kolana, podbiegł do niego z otwartemi ramiony. «Dzień dobry, wielebny mój ojcze, rzekł, rzucając się mu na szyję, ściskając i całując go w oba policzki. Ach! doskonale wyglądasz, cieszy mnie wielce że cię widzę w tak dobrem zdrowiu». Papież Klemens X (Alfieri) zachwycony tem dziwacznem obejściem, śmiał się serdecznie; okazywał też artyście wiele dowodów życzliwości.

Za powrotem ulubionego swego rysownika, król wprowadził go do ogrodów wersalskich, okazując roboty dokonane w czasie jego nieobecności. Przechodząc około kolumnady, Le Nôtre nie wyrzekł ani słowa. Król naglił, aby powiedział szczerze co o tem myśli.

«Ach, najjaśniejszy panie! — odparł rysownik, cóż chcesz abym ci powiedział? Jakiegoś partacza wziąłeś sobie za ogrodnika (był to Mansard), i uraczył cię lichotą.»

Król zamilkł; obadwa uśmiechnęli się.

W rzeczy samej, wodotrysk będący przedmiotem sarkazmu Le Nôtre'a, był nieosobliwej struktury i w nieosobliwem miejscu zbudowany.

Na miesiąc przed śmiercią tego mistrza, król, który lubił go widzieć i z nim rozmawiać, przywiódł Le Nôtre'a do swych ogrodów, a mając wzgląd na jego wiek podeszły, polecił wozić go w krześle obok siebie. Rozczulony tą dobrocią monarszą słynny artysta, rzekł:

«Ach! mój biedny ojcze, gdybyś ty żył jeszcze i mógł patrzeć na twego syna, prostego ogrodnika, wożonego w krześle obok najpotężniejszego w świecie mocarza, to już niczego nie brakłoby do mojego szczęścia!»

Z licznych ogrodów jakie odrysował Le Nôtre dla króla, książąt i osób prywatnych, przed innemi godne są wspomnienia: Wielki Trianon i Marly, Clugny darowany przez Ludwika XIV pani de Montespan, Saint-Cloud, Meudon, Tuileries (w 1665 r.), często przerabiane, mianowicie w części frontowej, a niedawno zeszpecone niezręczną przystawą parteru pseudo-angielskiego; Chantilly, Sceaux, taras w Saint-Germain i park w Turynie.

Powołany do Anglii, Le Nôtre nakreślił plan ogrodów w Greenwichu i w Saint-James — przypisują mu też budowę willi Panfili w Rzymie.

Około 1687 roku, Ludwik XIV sprzykrzywszy sobie wielkie apartamenta z niegodziwym rozkładem w Wersalu, polecił zbudować Mansardowi na północnym krańcu wielkiego parku, śliczne dolne piętro na miejscu dawnego pawilonu myśliwskiego, zwanego Trianon. Le Nôtre dołączył doń dość ładny ogród; — najpiękniejszą wszakże ozdobą Trianon'u, był taras wzniesiony w kierunku poprzecznej odnogi wielkiego kanału, gdzie król lubił przypatrywać się zabawom swych dzieci na wodzie. Około 1700 roku, Ludwik XIV znudzony wielkim Trianon'em, zasmakował w parku Marly, przyozdobionym przez Mansarda wspólnie z Le Nôtre'em.

Trudno wyobrazić sobie coś rozkoszniejszego nad układ istniejącego tu ogrodu. Wielki wodospad, staczając się w szerokich potokach po sześćdziesięciu trzech stopniach, zasilał z łatwością liczne sadzawki, w których pluskały się karpie królewskie. Łożysko tych sadzawek wyłożone było taflami porcelanowemi, a krawędzie ich otaczała złocona balustrada. Partery przeprowadzone w stopniowo obniżających się piętrach, oddzielone od siebie rozmaitemi alejami, ciągnęły się aż do wielkiego wybrzeża urwistego, wśród którego przejrzyste fale wodne przypominały zwierciadła weneckie. Marly ozdobionem było prócz tego posągami, cisami strzyżonemi, i bogatemi kobiercami zieloności. *(C. d. n.)*

U OGNISKA.

IV.

Gdzie wy, takie raźne i hulaszcze, takie proste, serdeczne, bez pretensyi i dla tego właśnie takie ochocze, grzmiące krakowiakowym przyśpiewem i dzwonkami kuligowych sań brzęczące, takie gwarne, moralnem i fizycznem zdrowiem tryskające, a nieznające ani znudzenia ani znużenia, takie «w nocy i we dnie wesołe, szalone, przednie»,—gdzie wy, nasze stare poczciwe «Zapusty»!!?..

Z rodzimego miana przechrzciłyście się na cudzoziemską nazwę, a stawszy się z «Zapust» «Karnawałem», nie zyskałyście nic weneckiego, a straciłyście dużo swojskiego, oh! dużo!

Ongi, na wasze wspomnienie radośnie biły serca młodzieży, przez cały rok do was tęskniącej; — a i starsi nie gardzili chwilowym szałem zabawy, dającym wytchnienie po całorocznej pracy i życiu poważnem, na seryo. Jeżeli nie brali czynnego w niej udziału, to rośli sercem na widok ochoty tej dziarskiej młodzieży, co to była i do tańca i do różańca, a potem wyrastała w mężów zdrowej rady i dzielnego ramienia, i w poważne matrony, piastunki życia rodzinnego i rodzimego ducha.

Jakże dzisiaj inaczej! Dzisiaj myśl o was, radosną nadzieją przejmuje chyba krawców, modniarki i bławatników;—a jeśli młode serduszko dziewczęce radośniej uderzy na wzmiankę o «karnawale», to najczęściej nadzieją zabłyszczenia strojem;—jeśli uśmiech zadowolenia na twarz młodzieńca wybiegnie, to najczęściej wywoła go nadzieja zdobycia na karnawałowych turniejach—dobrze zrobionym frakiem—złotego runa, w postaci przyzwoitego posagu.

O prawdziwej zabawie, zabawie w dawnem tego słowa znaczeniu, w porze zapustnej, chcieliśmy powiedzieć karnawałowej, nikt teraz u nas nie myśli. Wszystko co się robi, robi się na pokaz, dla pozoru,—i dla tego

też wszystko, nawet zabawa, jest pozorną tylko. Dla czego tak jest? wieleby o tem naopowiadać można—wiele też już naczytaliśmy się, nasłuchali, a może i napisali sami;—ale wszystko, co w tej materyi już powiedziano i napisano i wszystko co jeszcze kiedykolwiek powiedzianem i napisanem będzie, nie wytłómaczy i nie usprawiedliwi postępowania naszego.

Wiemy, że są położenia, są chwile, w których zabawa staje się bezmyślnością, szaleństwem lub grzechem;—ale wiemy również, że w życiu każdego człowieka z czystem sumieniem i poczuciem spełnienia ciążących na nim obowiązków, są chwile w których rozerwać, zabawić mu się wolno, w których zabawić się może a nawet potrzebuje koniecznie. Idzie tylko o to, aby zabawić się umiał.

Nie należymy do rzędu tych moralistów, którzy potępiając sposób bawienia się dzisiejszy, z całą powagą nieomylnych i wszechstronnych mentorów społeczeństwa podają recepty na zabawy, jedynie według nich przyzwoite i godziwe. Przekonani jesteśmy, że nic mniej od zabawy nie może podlegać pewnym z góry narzuconym prawidłom i przepisom; prawdziwa bowiem zabawa, zdaniem naszem, nawet co do formy swojej, musi być wynikiem danych okoliczności i żywiołów w skład jej wchodzących. Jeżeli przypuścimy, że żywioły te są mniej więcej przynajmniej rozsądne, a w każdym razie uczciwe, zabawa z pewnością będzie godziwą, a tem szczerszą, im mniej ciążyć będzie nad nią przymus, w jakikolwiek sposób jej narzucony.

Otóż tego prostego sekretu dobrej zabawy, który tak wybornie znali nasi ojcowie, my nie znamy, a raczej znać nie chcemy. Kamertonu do nastrojenia naszych zabaw nie chcemy szukać w sobie samych, we własnem położeniu, otoczeniu i stosunkach,—ale chcielibyśmy się bawić tak jak się bawią inni, przez fałszywy wstyd aby w tyle za niemi nie zostać. A gdy i ci inni bawią się (niby) także już na ton niestrojny, schwycony z cudzej, również fałszywej już intonacyi, jakżeż może nasza zabawa czystem wesołości odezwać się echem?...

Między wielu staremi maksymami, w formę przysłowiową odzianemi, które rzuciliśmy z pogardą w pył zapomnienia, jest jedna której wielka dalibóg szkoda a która brzmi: «według stawu grobla». Na jej miejscu, w życiu naszem w ogólności a w szczególności w zabawach, postawiliśmy sobie inną, cudzoziemską zasadę, która się nazywa *komilfo* (jak się mówi, tak się pisze),—i to *komilfo* zatruło nam życie i zabawę.

Jak tu się bawić ochotnie, jak tu choćby chwilowym odurzyć się szałem, kiedy każdy z nas wie o tem z góry dobrze, że nazajutrz będzie tak, jak powiedział poeta:

.........gdy zimny zbudzi ranek
Palący rozum i ramie,
Nie jeden szału kochanek
Z goryczą ręce załamie....

I nie dziw, że wraz z nim, każdego choć trochę myślącego człowieka bierze ochota zakończyć:

Po co śnić o raju nam,
Gdy mnie dzień na ziemi zbudzi?...
Tańczcie, gdy was taniec łudzi,
Ja—garść śmiechu rzucam wam!

Powiedzielibyśmy raczej: rzucamy wam garść żalu, że się bawić nie umiecie....

* * *

— Co znaczy i zkąd się wzięła cała ta jeremiada, to nudne na temat karnawałowy kazanie?... zapytasz zacna Czytelniczko i zacny nasz Czytelniku.—Oto ztąd, że z obowiązku naszego jako sprawozdawcy z bieżących warszawskiego życia objawów, chcieliśmy spisać Wam kronickę zapustną; więc przejrzeliśmy dzieje ubiegłej już znacznie większej połowy, ba! podobno dwóch trzecich już części długiego tegorocznego karnawału, i—jeremiada owa, jak ją słusznie nazywacie, jest sumarycznym tego przeglądu objawem.

Nie będziemy nigdy nikomu robić zarzutu z tego, że się mało bawi albo nie bawi wcale,—bo już z wyżej wypowiedzianej zasady wychodząc, nie myślimy napędzać do zabawy tego, kto się bawić nie ma ochoty. Ale kiedy już ktoś coś robi, to podobno można od niego żądać aby to robił jak się należy. Rozumiemy jeszcze, że można, jak to powiada poeta, śmiać się jakby za pokutę, ale jakby za pokutę tańcować dobrowolnie, to trochę zawiele!

A jednak prosimy popatrzeć po naszych karnawałowych zebraniach, po tańczującej na nich młodzieży, a mianowicie młodzieży męzkiej. Oh! ta młodzież męzka! Toż to istne tańca męczenniki!.. Patrzcie tylko: suwa się to i kręci wprawdzie po salonie, ale widocznie jakby z łaski lub z musu, uciekając o ile tylko może od tej tortury do pokojów, gdzie są papierosy, cygara i zielone stoliki, choćby tylko dla odetchnięcia ich widokiem; pogada to trochę, także jak za pokutę, z tancerką przy kadrylu, o mrozie i odwilży; czasami raczy jej się nawet zapytać: «Ile razy też pani tańczyła już tego karnawału?»,—a nareszcie, spełniwszy ostatni akt tej strasznej ze siebie ofiary, w postaci spożycia mniej więcej obfitej kolacyi, niknie, wyczerpawszy na to szczytne poświęcenie resztki sił swoich moralnych i fizycznych.

Są wprawdzie wyjątki, czasem dosyć nawet liczne, ale, co dziwna — jeśli nas zmysł nasz postrzegawczy nie myli, to że wyjątki te stają się tem rzadszemi, im w niższe klassy wieku obserwowanych się spuścimy. Co to jest właściwie?... Wysoki nastrój duchowy, gardzący takiemi błahostkami jak przyzwoita wiekowi zabawa? wyziębienie, starość ducha i ciała przedwczesna, czy hipokryzya, pozowanie?.... Długoby znów o tem mówić,— a że się nie chcemy drugi raz już w ciągu jednej pogadanki dać złapać na kazaniu, więc sprawę tę odkładamy, da Bóg doczekać, do innego miejsca i czasu.

* * *

Co myślimy w ogólności o zabawach na cele dobroczynne, napomknęliśmy już o tem w jednej z dawniejszych pogadanek naszych; tutaj więc, pomijąc nasze wywody, streszczamy tylko ostatnie ich konkluzye. Pragnąc gorąco wszelkiego postępu w dobrem, bierzemy jednak świat takim jakim on jest, i uważamy za rzecz ostatecznie godziwą, wyzyskiwanie danego jego ustroju na korzyść zamiarów zacnych,—i dla tego godzimy się na teraz z zabawami mającemi na celu zebranie grosza ofiarnego, skoro go inaczej zebrać trudno, jeżeli nie niepodobna.—Otóż między zabawami tego rodzaju stojącemi na porządku dziennym bieżącego karnawału, jest jedna, która ma po sobie szczególną naszą sympatyą. Żałujemy mocno iż tak wypadło, że w chwili gdy to piszemy, zabawa ta należy jeszcze do przyszłości; w chwili zaś, gdy pismo nasze dojdzie do rąk Waszych, będzie już należała do przeszłości; — nie możemy więc już ani Was do udziału w niej zachęcać, ani też zdać Wam obecnie z niej sprawy. Że jednak mamy głównie na uwadze instytucyą, na rzecz której ona się odbędzie, więc powiemy tu słów kilka, nie o zabawie, ale o samej instytucyi.

Mówimy o balu mającym się odbyć w d. 14 b. m. na rzecz «Warszawskiego szpitala dla dzieci».

Czy wiecie Szanowne Czytelniczki i Szanowni Czytelnicy o istnieniu w Warszawie Szpitala dla dzieci?.. Może nie wszyscy — bo też to instytucya młoda, zaledwie siódmy rok istnienia licząca, z prywatnej inicyatywy, z dobroczynnych datków powstała i niemi się utrzymująca, ale dziś już na poważny zakład wyrosła, i ważne społeczeństwu oddająca usługi.

Czy wiecie, co to choroba dziecka w domu?... Bóg

Wam daj, żebyście z własnego, a bodaj i z cudzego nie wiedzieli o tem doświadczenia! Ale koniec końców, nieszczęścia chodzą po ludziach, — a kogo to nieszczęście, o którem mowa, dotknęło, ten wie, ile około takiego małego pacyenta w domu potrzeba zabiegów, ile troskliwości, ile bacznego, nieustającego czuwania, nawet w takich razach, w których chory dorosły prawie bez opieki, własnemu może być pozostawiony rozsądkowi. A iluż to jest rodziców, którzy wspólną, usilną, wytężoną pracą,—z trudnością zaledwie zdołają zaspokoić potrzeby swojej rodziny w normalnych jej warunkach, i dla których choroba dziecka tem straszliwszą jest katastrofą, że albo dla pieczy nad chorym muszą odrywać się od zwykłych zajęć, a tem samem mniej zarabiać w chwili, gdy właśnie zwiększone chorobą potrzeby tem większych też wymagają wydatków, albo cierpiące dziecko pozostawić bez należytej opieki i nadzoru. Jedno gorsze od drugiego! — nieprawdaż? Otóż tym nieszczęśliwym, w tak smutnem położeniu, przychodzi w pomoc instytucya od niedawna u nas istniejąca: Szpital dla dzieci. Za bardzo małą, dla każdego niemal przystępną opłatą, bo 15 kop. dziennie, a nawet bezpłatnie gdy tego położenie rodziców wymaga, zakład ten przyjmuje młodocianego pacyenta, otacza go opieką częstokroć skuteczniejszą, bo wolną od tych obaw, które nazbyt często nie dozwalają rodzicom jasno i trzeźwo spoglądać na stan choroby; daje mu każdej chwili pomoc lekarską, jednem słowem zapewnia mu wszystko, czem umiejętność i doświadczenie ku ratowaniu ludzkiego zdrowia rozporządzają.

Taką jest instytucya, o której, przy pierwszem o niej wspomnieniu, tak sympatycznie się wyraziliśmy. Czyż nie mieliśmy racyi? Czyż i Wy, Szanowni Czytelnicy, a mianowicie Wy Szanowne Czytelniczki, nie pójdziecie za naszym przykładem i nie otoczycie jej również życzliwością swoją, nie przyjdziecie jej w miarę możności z pomocą, której ona ciągle potrzebuje, a na którą w tak pełnej zasługuje mierze? Znając serca Wasze, bijące gorąco dla wszystkiego co zacne, co szlachetne, co dobro bliźnich ma na celu, ani na chwilę o tem nie wątpimy.

A teraz jeszcze słówko o genezie tego zakładu. Pierwszą do niego inicyatywę dał dr. Antoni Sikorski, który w r. 1869, przy pomocy osób uznających potrzebę i pożytki takiej instytucyi, otwarł «Zakład leczniczy prywatny dla chorych dzieci.» Zakład ten, ciesząc się coraz większem wzięciem i zasłużoną protekcyą, już w r. 1871 otrzymał z Monarszego daru plac przy ulicy Aleksandrya, pod budowę własnego szpitala; w r. 1873 Ministerstwo spraw wewnętrznych zatwierdziło jego ustawę, w skutku czego przybrał on nazwę «Warszawskiego Szpitala dla dzieci,» — a gdy zupełny brak funduszów stawał na przeszkodzie wzniesieniu odpowiedniego celom zakładu gmachu własnego, znalazła się i na to rada w szlachetnej ofiarności jednej z dam naszych, której czyn wskrzesił starą, cudzoziemską wprawdzie, ale i u nas dawniej, jeśli nie słowem to czynem wykonywaną dewizę: *noblesse oblige!* Pani Augustowa hr. Potocka oświadczyła się z gotowością zebrania w kołach zamożnych osób summy, którąby wraz z jej własną ofiarą wystarczyła na wzniesienie szpitala; nie poprzestając na tem, całą sprawę i nawet kierunek budowy wzięła w rękę, i w maju 1874 położywszy kamień węgielny nowego gmachu, w d. 18 listopada 1875 r. oddała go już całkiem gotowy na użytek zakładu. Niech publiczne uznanie będzie nagrodą tego rzadkiego już, niestety! w naszych czasach przykładu energii w dziele dobrem.— Mimo tego szpital dla dzieci, który większą połowę zgłaszających się doń pacyentów leczy darmo, a od mniejszej połowy pobiera opłatę po 15 kop. dziennie, kiedy dzienne utrzymanie chorego kosztuje w przecięciu $53^3/_4$ kop., potrzebuje corocznie na utrzymanie swoje mniej więcej 6000 r. sr., po które do ofiarności publicznej uciekać się musi. — Bliższych szczegółów, na które tutaj miejsca by nam nie stało, można się dowiedzieć z wydanego przez zarząd szpitala sprawozdania z czynności za r. 1875, oraz z ustawy szpitala, której Zarząd jego z pewnością każdemu z gotowością udzieli. Skład tego zarządu jest następujący: *Prezydujący*, Dr. Med. Ant. Sikorski; *Członkowie*: hr. Aleksandra Potocka, p. Gabryela Wrotnowska, hr. Stanisław Ostrowski, p. Ludwik Kolnarski. —

* * *

Nietylko karnawałowa, ale i koncertowa tegoroczna pora, idąca zwykle na równi z pierwszą, nie przedstawia wiele rozmaitości. Jedynym wypadkiem, który głębiej i gwałtowniej na chwilę wstrząsnął zastępami melomanów naszych, był przyjazd Patti; — ale nie prawdziwej, to jest nie Adeliny Patti, tylko siostry jej Karoliny, zwanej zwykle Carlottą. Panna Carlotta, obdarzona nadzwyczaj giętkim i szerokiej skali głosem, którego nietyle ze sztuką jak raczej ze sztuczkami używać się nauczyła, cieszyła się niegdyś pewnym rozgłosem, na który po części składał się i jakiś odblyszczek aureoli okalającej imie jej siostry, — nigdy jednak nie należała do pierwszorzędnych śpiewaczek seryo. Widzieliśmy i słyszeliśmy ją przed kilkunastą laty, już wtedy, o ile nam się zdaje, pełnoletnią. Objechawszy z swojemi trelami, jeśli się nie mylimy, kilka części świata, panna Carlotta raczyła nareszcie resztkami ich uszczęśliwić i Warszawę, — ale za ten zaszczyt kazała sobie drogo płacić, bo pierwsze miejsca na pierwsze jej koncerta, kosztowały po cztery ruble. Poczciwi Warszawiacy sarkali trochę na to, ale kupowali bilety i pierwszy koncert był nabity — a odbywał się, równie jak reszta, w sali ratuszowej.

Przypomina nam to pobyt Katalani w Krakowie, w roku... dalibóg, już nie pamiętamy którym. Dość że przyjechała Katalani do Krakowa i zapowiedziała swój koncert, na który pierwsze miejsca kosztowały po dukacie. Melomani krakowscy, podobnie jak teraz warszawscy, skrobali się trochę po głowie, ale koniec końcem poszli. Koncert był świetny; — Katalani śpiewała — jak Katalani, nie jak Carlotta Patti... zasypano ją też oklaskami i bukietami. Ale u jednego z bukietów znalazła się przyczepiona karteczka, z następującym, niezbyt poetycznym, ale zawsze czterowierszem:

Mościa pani Katalani!
Śpiewajże nam, ale taniej,
Bo za twoje tra ra ra
Dość by było talara.

Diwa naturalnie nie rozumiała po polsku, ale znalazła z łatwością kogoś, co jej to jak mógł przetłómaczył. Rozśmiała się — i następny koncert dała po talarze. Naturalnie, że na sali szpilkę trudnoby było wetknąć, taki był ścisk, a owacyom nie było końca.

Panna Carlotta obecnie u nas, choć nikt do niej tak oryginalnej nie podał petycyi, po dwóch koncertach, z których drugi, mówiąc między nawiasami, o dużo mniej był świetny od pierwszego, — raczyła ogłosić dwa tak zwane *popularne* (!) koncerta po cenach zniżonych. Zdania były podzielone. Większość niezmiernie była w nadziejach swoich rozczarowana, — byli jednak amatorowie ruin, byle zagranicznych, którzy się entuzyazmowali, — więc te dwa drugie koncerta wypadły średnio. Ale koniec końcem, panna Patti wraz z swojemi towarzyszami wywiozła z Warszawy 6,000 rsr. czystego, gotowego grosza. Jakżeby się ten grosz przydał, choćby takiemu «warszawskiemu szpitalowi dla dzieci!» — jakżeby się nam przydał na wiele a wiele lepszych, pilniejszych, potrzebniejszych i pożyteczniejszych rzeczy, aniżeli podszarzane trele cudzej ex-diwy!...

* * *

A propos koncertów, czy wiecie Czytelnicy, jakim koncertem Amerykanie, obywatele Stanów Zjednoczonych, uczcili setną rocznicę ogłoszenia swojej niepodległości?... Oto koncertem lokomotyw! tak, lokomotyw! Zestawiano szeregiem po kilkadziesiąt tych miłych instrumentów, puszczano parę w świstawki, i rozlegał się majestatyczny (?) gwizd, od którego z pewnością jeżeli nie serca, to włosy słuchaczów musiały dźwigać się do góry. Pomysł to istnie amerykański, oryginalny — nieprawdaż? Dotąd zapał, uniesienie, objawiały się rozmaitemi hałaśliwemi oznakami: klaskaniem, okrzykami, wreszcie ogniem ręcznej broni lub hukiem dział; gwizdanie, było zawsze oznaką przeciwnych uczuć: oburzenia, potępienia, pogardy... Dziś obywatele nowego świata i w tem przewrócili stary porządek rzeczy... Czy to także postęp?... Według pewnych nowych teoryj, które wszystko co stare, jako złe potępiają, zdawałoby się że tak, — a jednakże... przyznamy się, że przed tym nowym tryumfem postępu nie chce nam się czoła uchylić.

To wyświstanie przez Amerykanów amerykańskiej niepodległości, której rocznicę głównie obchodzono w Filadelfii, przywiodła nam na myśl właściwie ta pocieszająca wiadomość, że jednak aż 50 naszych przemysłowców zgłosiło się z chęcią wysłania swoich wyrobów na wystawę filadelfijską, do komissyi działającej w Warszawie z ramienia zarządu tejże wystawy. Znać przemysł nasz, oparty na wawrzynach uzyskanych na europejskich wystawach, czuje się na siłach stanięcia do współzawodnictwa z przemysłem innych krajów i na tej wystawie nowego świata, która świetnością swoją zaćmi prawdopodobnie wszystkie swoje poprzedniczki. Cieszymy się szczerze tym dowodem zaufania w sobie, i tuszymy, że zaufanie to przemysłowców naszych nie zawiedzie. Życzymy im też jak najobfitszych laurów na tej wielkiej przemysłowej arenie, — a zarazem życzymy krajowi, aby jak największe z tych wawrzynów swoich dzieci odniósł korzyści; — przemysłowcom zaś samym rzucamy przy życzeniach maleńkie przypomnienie, że koledzy ich w innych krajach, dwojaki cel zakładają rozwojowi swojej działalności, a mianowicie osiągnięcie: doskonałości wyrobów i — taniości ich cen. Wszak prawda, mili Czytelnicy, że przypomnienie to nie zawadzi?...

Nowości księgarskie.

Dzieła Klementyny z Tańskich Hofmanowej. Wydanie nowe, pod redakcyą Narcyzy Żmichowskiej. — Niewiele dziś już naliczylibyśmy księgozbiorów prywatnych, posiadających dzieła tej niezrównanej autorki, a mniej jeszcze młodzieży czytającej je; młodziuchne i dorastające pokolenie może nawet nie wie, że istniała przed niespełna pół wiekiem niewiasta, która żywiąc gorącą miłość ku młodzieży, całe swe życie i wszystkie prace swoje poświęciła jej kształceniu i zasiewaniu w młodociane serduszka zarodów tych świętych cnót domowych, które wytwarzają szlachetnych i dzielnych mężów, zacne żony i matki. Od tego czasu wiele, bardzo wiele pojawiło się książek dla dzieci i młodzieży; żadna z nich, zdaniem naszem, nie dorównywa pracom Hofmanowej. Gdzież można znaleźć serdeczniejszą prostotę i większą przystępność dla uczących się czytać, jak w «Wiązaniu Helenki»? Gdzie więcej powabu, jak w «Powieściach moralnych» i «Komedyjkach»? Czy istnieją w późniejszej literaturze naszej perły tego gatunku i czystości, jak «Pamiątka po dobrej matce» — «Karolina» — lub uroczy i rzewny «Jan Kochanowski»?

Zaprawdę, wskrzeszenie dzieł Hofmanowej było rzeczywistą potrzebą w obecnym czasie, gdy z jednej strony wpływ materyalizmu wyziębia w młodzieży męzkiej cześć dla tradycyi i uczucia rodzinne, a z drugiej prąd fałszywych pojęć o emancypacyi kobiecej spycha dziewice i niewiasty na tory sprzeczne z ich powołaniem, z godnością kapłanek domowego ogniska, którą Stwórca im przeznaczył. Dla tego też, z radością witając dwa już wyszłe tomy dzieł Hofmanowej, śmiało i szczerze powiadamy, że spółka wydawnicza księgarzy dobrze się zasłużyła naszemu społeczeństwu, a Czytelnikom naszego pisma gorąco polecamy to wydanie, które ich dziatkom i im samym wiele przyjemnych, a co ważniejsza, wiele pożytecznie spędzonych chwil zapewnić jest zdolne.

Pamiętniki Marcina Matuszewicza, kasztelana brzeskiego litewskiego, 1714 — 1765 — wydał *A. Pawiński* — Warszawa 1875. Pamiętniki te, noszące w rękopisie tytuł: «Dyaryusz życia mego, ile pamiętać mogę, dla wiadomości potomkom moim spisany, oraz dla przestróg, czego się wystrzegać, a co do naśladowania jest pożyteczno» — jeszcze nieodżałowanej pamięci Julian Bartoszewicz nazwał «nieocenionym skarbem pod względem politycznym i obyczajowym». Jakoż Matuszewicz, który od pisarstwa w sądzie grodzkim w Brześciu litewskim, dobił się aż senatorskiego krzesła, stronnik zrazu Czartoryskich, następnie Radziwiłłów i hetm. Branickiego, wreszcie znów pragnący się akkomodować *familii*, mianowicie po osadzeniu na tronie Stanisława Augusta, lubo zbyt wybitnego nigdy nie zajmował stanowiska, miał jednak udział we ważniejszych sprawach krajowych, mianowicie za panowania Augusta III. To też pamiętniki jego nader ożywiony i cenny stanowią materyał historyczny, do tej zwłaszcza epoki, tak właśnie ubogiej w tego rodzaju źródła. Czytając je, widzimy niby w kalejdoskopie przesuwające są przed nami barwne obrazki ówczesnego żywota szlachty polskiej, jej domowe stosunki i sprawy, równie jak życie publiczne, zjazdy i sejmy. Na niektóre wypadki i wybitniejsze z owego czasu postaci rzucają one nowe zupełnie światło, — a tem są cenniejszemi, iż wypłynęły z pod pióra człowieka czynnego, zdolnego i wykształconego. Był bowiem Matuszewicz jednym z celniejszych mówców swojego czasu, protegowanym i prawą nieraz ręką, w najważniejszych sprawach, Sapiehów, Czartoryskich, Radziwiłłów, Branickich, a i muzy obcemi mu nie były, zostawił bowiem piękny przekład satyr Horacyusza, który wyszedł w 1784, w jedenaście lat po śmierci tłómacza, w Wilnie, pod tytułem: «Satyry wszystkie Horacyusza, wierszem polskim przez jednego z obywatelów litewskich wyłożone», a dziś do rzadkości niemal bibliograficznych należy. Tłómaczył też Matuszewicz i parafrazował wiele ód Horacyusza, który był ulubionym jego autorem. Pamiętników jego wyszły dotąd trzy tomy,—czwarty, ostatni, ma się ukazać niebawem.

Fantazya d-ra Ox, przez Juliusza Verne. Nakładem F. Stoppelle. — Powiastki popularno-naukowe Juliusza Verne oddawna już zjednały sobie wziętość w całej Europie. Fantazya d-ra Ox, której przedmiotem jest wyjaśnienie działania tlenu na funkcye organizmu, ujętą jest w formę dowcipnego opowiadania, które w czytających żywe budzi zajęcie.

Rys literatury polskiej, przez *L. Sowińskiego*.—Wyszedł z druku tom drugi tego dzieła, tom trzeci i ostatni ma podobno ukazać się wkrótce na widok publiczny, co gdy nastąpi, zamieścimy w piśmie naszem obszerniejszą wzmiankę o tej pracy.

Od Redakcyi. Napływ zajmujących i na czasie będących artykułów skłonił nas do powiększenia dzisiejszego numeru o cztery stronnice. Na ten nadprogramowy dodatek zwracamy uwagę szanownych Czytelników.

Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11. Redaktor i Wydawca **Jan Noskowski**.

Дозволено Цензурою, 26 Января (7 Февраль) 1876 года.